BIBLIOTEKA DLA MŁODZIEŻY

Ciężka próba

opowiadanie
dla moich młodych przyjaciół

przełożył

Romuald Starkel

WE LWOWIE

Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta

A. PRZYSZLAK LWÓW.

Digitized by the Internet Archive
in 2026

https://archive.org/details/ciezkaproba0000frho

30 ₽

1,50 ₽

BIBLIOTEKA DLA MŁODZIEŻY. TOMIK 13.

FR. HOFFMAN.

CIĘŻKA PRÓBA.

Opowiadanie dla młodych moich przyjaciół.

Przełożył

ROMUALD STARKEL.

WYDANIE NOWE.

Z czterema rycinami.

LWOW.
NAKŁADEM KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA.
1901.

Printed in Poland

Z drukarni J. Czaińskiego w Gródku.

I.

Na grobli.

Ty na niego chlebem, a on na ciebie kamieniem! powiada nasze przysłowie.

Jakże to często spotykamy się w życiu z podobną niewdzięcznością! ale czy już dlatego mamy obojętnie spoglądać na nędzę i utrapienia nieszczęśliwych, czy godzi nam się dlatego pomijać ich z zamkniętą dłonią, tłómacząc sobie, że nie warto być dobroczynnym, skoro świat tego nieocenia?

Zaiste, tylko człowiek zakamieniały mógłby coś podobnego myśleć, tak mówić i postępować. Kto jest wyrozumiałym na wady ludzkie, ten nie szuka próżnej wdzięczności; dla niego już samo poczucie, że spełnił dobry uczynek, jest najmilszą nagrodą.

Taki człowiek działa wedle słów Chrystusa, Który napomina: „Bądźcie miłosierni, jako wasz

Ojciec w niebiesiech!“ A zresztą, chociaż świat za dobrodziejstwa najczęściej zwykł płacić czarną niewdzięcznością, to przecież nie brak nam przykładów, zachęcających nas, abyśmy nigdy dobrodziejstw wyświadczać nie przestawali. Na dowód niech wam posłuży następujące zdarzenie:

Pod Nowym Orleanem, słynnem miastem handlowem w Ameryce, ciągnie się przeszło dwadzieścia mil olbrzymia grobla nad rzeką Missisipi. Grobla ta, usypana wzdłuż brzegów tego „rodzica wszystkich rzek,“ jak go Indjanie nazywają, strzeże od zalewu okoliczne niwy, a zarazem tworzy przystań dla ogromnych parowców, okrętów żaglowych i innych niezliczonych statków po rzece krążących.

Na tej to grobli, naprzeciw właściwej przystani, w której kołysało się na falach kilka tak wspaniałych parowców, że śmiało by je pływającymi pałacami nazwać można, siedziała pewnego razu, wśród czerwcowego upału już nie młoda, i raczej cierpieniem i troskami, niż wiekiem złamana niewiasta. Jej blada i wynędzniała twarz była głębokimi zmarszczkami poorana, przerażająco wychudłe członki okrywała uboga, wyszarzana, ale czysta suknia. Martwy połysk

jej oczu zdradzał zaraz na pierwsze wejrzenie, że ta nieszczęśliwa jest ciemną. W chudej, pożółkłej ręce trzymała blaszaną miseczkę, na którą litościwi przechodnie rzucali jałmużnę. Niestety, pośród tych tłumów, goniących za zyskiem i snujących się ustawicznie jak boży dzień długi po grobli, znalazł się może jeden na stu, który ulitował się nad biedną żebraczką. Naprożno wyglądała współczucia, lub słowa pociechy, to też gorzko nad swym losem zapłakała, ale łez jej nikt nie widział prócz Boga i piętnastoletniego ładnego chłopczyka, który kiedyniekiedy cichym głosem, lub smutną miną odzywał się do litości przechodniów. Nikt go jednakże nie słuchał, nkt się nie zbliżył do niego, a chłopczyna zamiast jałmużny spotykał się najczęściej z pogardliwem spojrzeniem, przekleństwem, lub niechętnym ruchem ręki.

„Biedna matko“ — pomyślał chłopczyk — „o tyleś przynajmniej szczęśliwą, że nie widzisz tych pogardliwych spojrzeń, jakiemi nas zewsząd przeszywają, serceby ci się krajało na ten widok. Ach, czemużeśmy opuścili naszę ojczyznę — wszakże tam było nam tak dobrze, tak miło, tyle doznawaliśmy tam współczucia... a tu... w

Ameryce... powietrze wprawdzie parne, gorące, ale serca jakże zlodowaciałe!“

„Nie płacz mateczko,“ rzekł po chwili Tomek półgłosem do ciężko zasmuconej niewiasty, „słońce jeszcze wysoko na niebie, może choć pod wieczór będziemy szczęśliwsi; we dnie ludzie zbyt wiele o własnych myślą interesach, ażeby o nas mogli pamiętać i ulitować się naszej niedoli. Cierpliwości tylko mateczko, a Bóg ojców naszych nie opuści nas tu na obczyznie!“

Na te słowa matka otarła łzy i słodko uśmiechnąwszy się do syna, rzekła łagodnym głosem:

„Łzy te wyciska mi jedynie troska o ciebie, mój poczciwy Tomku. Nademną Bóg niezawodnie wnet się zlituje i powoła mnie do chwały Swojej, ale ty, mój biedaku, cóż ty poczniesz w tym obcym kraju, gdzie nawet zajęcia znaleść nie możesz nie umiejąc tutejszego języka. Bez grosza, bez przyjaciół, bez opieki, zdołasz że ujść ostatecznej nędzy, albo nawet, broń Boże! głodowej śmierci?“

„Próżna trwoga, kochana matko,“ odrzekł chłopiec pewnym głosem. „Jestem młody, zdrów, silny i nie bez przyjaciół, owszem spodziewam

się, że Ten, który mi dotąd pomagał i w przyszłości mnie nie opuści, a Tym jest Bóg, ojciec wszystkich sierót!“

Strapiona matka nic na to nie odpowiedziała jeno złożyła ręce, jakby do gorącej modlitwy i ciche westchnienie wymknęło się z jej piersi.

Tymczasem obok nich płynęły szybko tłumy ludzi, jak nieścigniona fala, dalej i dalej, bo cóż ich tam obchodził blady, ładny chłopczyna o łagodnej, smutnej twarzyczce, cóż ich obchodziły wynędzniałe, łzami zorane policzki ciemnej żebraczki? Co innego mieli oni na głowie — ten myślał o ryżu i tytoniu, tamten o cukrze, o kawie i innych towarach, które z okrętów w ogromnych skrzyniach i beczkach na groblę wyładowywano. O zyskach oni w tej chwili, myśleli a nie o jałmużnie dla biedaków, którzy wedle ich mniemania, lepiejby byli uczynili pozostając w ojczyźnie. Kto tu przyszedł niech sobie radzi jak może, jeśli nie chce z głodu i nędzy marnie gdzieś zginąć pod płotem!

Słońce miało się już ku zachodowi pławiąc czerwone promienie w nurtach Missisipi. Tomek stracił już wszelką nadzieję, ażeby mu się jeszcze udało dziś kogokolwiek pobudzić do litości.

„Chodźmy mateczko“ odezwał się wreszcie stłumionym i drżącym głosem. „Trzeba obejrzeć się za noclegiem, bo wnet się już zciemni, a kiedy noc zapadnie, trudno nam będzie trafić.“

Biedna niewiasta jęknęła: „Więc znowu głodni musimy udać się na spoczynek, zaiste ciężko nas los doświadcza mój dobry Tomku!“

Ostatnie te słowa usłyszał jakiś nieznany człowiek, który właśnie przechodził koło biedaków.

„Jakto?“ zawołał gniewnym głosem. „Maszże ty sumienie niewiasto w ten sposób się odzywać, będąc jeszcze nie bardzo podeszłą i zdrową?“

Tomek wypatrzył się na nieznajomego. Był to mężczyzna w średnim wieku, silnie zbudowany i krzepki, twarz miał ogorzałą, czoło zorane zmarszczkami, wargi zaciśnięte, co wszystko nadawało mu wyraz stanowczy, a zarazem surowy i szorstki. Tomek nie stracił mimo to odwagi, ale odezwał się łagodnym głosem:

„Niech pan nie łaje mojej matki, ona biedaczka jest ciemna, a przytem pozbawiona wszelkich środków do życia.“

„Ciemna? To źle!“ odrzekł nieznajomy. „Ale pozbawiona środków do życia? Rzecz niepojęta?

Albożto ty chłopcze nie masz dość sił do pracy?“

Tomek spuścił oczy przed groźnym przenikliwym wzrokiem nieznajomego i nagły rumieniec oblał jego policzki.

„Teraz znów ja muszę wstawić się za moim biednym synem“ odezwała się matka. „On temu nie winien, że dotąd nic znalazł zajęcia. Oglądał się za niem dawno i szczerze, ale wszędzie odprawiano go z niczem, bo nie umie ani po angielsku, ani po francusku. Teraz nie pozostało mu nic innego, jak tylko żebraniną utrzymywać swą biedną matkę, choć wiem, że zamiast kołatać do nielitościwych ludzi, wolałby raczej podjąć się nawet najcięższej pracy.“

„Lecz zkądże wpadliście na tak nieszczęśliwy pomysł opuszczać ojczyznę i tu przyjeżdżać nic znając tutejszego języka“ zauważał nieznajomy już nieco łagodniej.

„A któż mógł przypuścić, mój dobry panie, że tak straszne nieszczęście spotka nas w podróży!“ rzekła matka. „Ciężko nas boska ręka dotknęła, zawiodła wszystkie nasze oczekiwania i wtrąciła w otchłań niedoli, a jednak nie sarkam na ten los opłakany, lecz korzę się przed niedoścignionymi wyrokami Boga“.

„O jakiemże to nieszczęściu mówisz, moja kobieto“ zapytał nieznajomy z widocznem współczuciem.

„Ach! panie, smutne są nasze dzieje, i nie łatwo je kilkoma słowami opowiedzieć“ odrzekła niewiasta. „Uciekając z kraju, przed strasznemi zamieszkami, o których Pan zapewne słyszałeś, opuściliśmy ojczyznę. Mój mąż był zmuszony sprzedać małą posiadłość wiejską i wsiedliśmy na statek w Bremie, aby się dostać do Nowego Orleanu. Tu zamierzaliśmy odszukać mężowskiego brata, który już coś przed piętnastu laty wyniósł się był do Ameryki, i od którego pewnej spodziewaliśmy się pomocy. Ale srogośmy się zawiedli. Mój mąż, zapadłszy w czasie podróży na nerwową gorączkę, umarł w drodze, a zwłoki nieszczęśliwego spoczywają gdzieś na dnie morza. Od wielkiego żalu oczy sobie wypłakałam, a na dobitek niedoli, kiedyśmy tu przed tygodniem przybyli, ukradł nam jakiś hultaj zawiniątko, w którem znajdował się nasz cały niewielki zapas gotówki. Napróżno używaliśmy wszelkich możliwych środków celem odzyskania naszej straty, nawet poszukiwania władzy okazały się bezskuteczne. I oto znaleźliśmy się ze

wszystkiego ogołoceni, bezradni, na obcej ziemi, pomiędzy obcymi ludźmi, których mowy nawet nie rozumiemy. Całą nadzieję pokładaliśmy jeszcze w tem, że uda nam się odszukać brata nieboszczyka męża — ale i to daremne. Wnet rozeszło się tych kilka groszy, któreśmy mieli przy sobie, to też, nie mając czem zapłacić komornego, zostaliśmy przez gospodarza na ulicę wyrzuceni. Cóż pozostaje nam zatem, jak tylko żebrać we dnie, a noc przepędzać w jakiejś otwartej szopie za miastem, którą mój dobry Tomek znalazł przypadkiem, szukając zarobku. Teraz już wiecie wszystko łaskawy Panie.“

„Ha, trzeba przyznać“ odezwał się na to nieznajomy, „że Opatrzność na ciężkie wystawiła was próby. Tyle nieszczęść od razu! Najprzód stracić męża, potem wzrok, potem całe mienie, a wreszcie znaleść się w kraju tak wyzutym z chrześcijańskiej litości... Wiem, że świat nie zna wdzięczności, ale wy jesteście moimi rodakami, a przytem w ostatecznej nędzy! Wprawdzie poprzysiągłem sobie nigdy już więcej nie mieszać się w cudze sprawy, bo ludzie na to nie zasługują, ale... niechże i tak będzie, dziś jeszcze raz spróbuję.“

„Moja kobieto“ rzekł wreszcie po chwili namysłu, „wasza niedola wzruszyła mnie, gotów więc jestem udzielić wam na tak długo schronienia, dopokąd wasz syn nie znajdzie sobie jakiego zajęcia. Chodźcie za mną, ale przedtem powiedzcie mi jeszcze, jak się nazywacie.“

„Nazywam się Brander, Krystyna Brander... a pochodzimy z Badeńskiego“ odrzekła matka.

Zdumiał się nieznajomy na te słowa, zaiskrzyły mu się oczy, ale wnet zapanował nad sobą, zanim jeszcze Tomek mógł w nim dostrzedz to chwilowe poruszenie.

„Więc pani się Brander nazywasz? I pochodzicie z Badeńskiego?... To na pewną myśl mnie naprowadza,“ rzekł nieznajomy. „Przed wielu laty znałem człowieka, który nosił to samo nazwisko i również z Badeńskiego pochodził. A jakże było na imię mężowi Pani?“

„Jan.“

„I to się zgadza. Człowiek o którym wspomniałem, to zapewne szwagier Pani.“

„Wielki Boże!“ zawołała niewiasta — „gdzież on jest! gdzie go mam szukać? O mój zacny Panie, jakąże radosną nadzieją natchnąłeś mi serce!“

„Ba!... gdzie jest? gdzie go szukać?... Na to nie łatwo odpowiedzieć“ rzekł nieznajomy ściągając ramionami. „Ameryka jest długa i szeroka, a ludzie tu niechętnie przesiadują na jednem miejscu. Ów Brander, o którym wspomniałem, może tak dobrze być w Meksyku, jak w Kalifornii, a nawet tu w Nowym Orleanie. A któż to może wiedzieć! Lecz dajmy temu spokój. Był on niegdyś moim przyjacielem, już więc dlatego samego chętnie wam dopomogę o ile to będzie w mojej mocy. Pójdźcie za mną!“

„Ach, jakże my Panu podziękować mamy!“ zawołał Tomek obsypując pocałunkami rękę nieznajomego, który w tej chwili zachmurzył się i szybko rękę cofnął.

„Daj spokój!“ odrzekł szorstko. „Nie oczekuję i nie wymagam podzięki, co zawsze tylko w czczych słowach się objawia, a nigdy do prawdziwej wdzięczności nie pobudza.“

„O, Panie, przez całe życie —“

„Przestań!“ przerwał mu nieznajomy rozkazującym tonem, nie zważając na łzy błyszczące w oczach chłopca. „Pójdźcie teraz za mną nie mówiąc wiele, bo inaczej nie chcę słyszeć o was.“

Rzekłszy to, zwrócił się ku miastu i wszedł

w wąską uliczkę. Tu zatrzymał się wnet przed małym domkiem i zapukał do drzwi.

Natychmiast otworzono, a w progu ukazała się z świecą w ręku stara murzynka, która powitała nieznajomego pośród najżywszych oznak poszanowania i radości.

„A, pan kapitan!" zawołała kłaniając się bez ustanku, — „jakaż to radość dla starej Katarzyny, że pana kapitana znów oglądać może. Cóż pana tu sprowadza?"

„Słuchajno Katarzyno," rzekł nieznajomy obojętnie — „pomieścisz tę panią i tego chłopca u siebie i będziesz ich we wszystko zaopatrywać, dopokąd nie wydam dalszych zleceń. Jeżli nie masz pieniędzy, to wiesz, gdzie mieszkam. Idźcie za tą kobietą" — dodał, zwracając się do Tomka i jego matki — „ona będzie o was pamiętać. A teraz dobra noc!"

Z temi słowy obrócił się i wnet znikł w ulicy. Na poły uradowany jego dobrocią, na poły zmieszany jego szorstkiem obejściem, długo spoglądał Tomek za odchodzącym, dopokąd stara murzynka nie wezwała swych gości, ażeby weszli do domu.

„Pójdźcie, pójdźcie za mną! wszak pod da-

chem lepiej niż na ulicy. Stara Katarzyna zaraz przygotuje herbatę, wydobędzie bułki.... tylko śmiało naprzód!

„Ostrożnie mateczko!“ odezwał się Tomek. „Trzymaj się mnie za rękę, bo tu trzy schodki do góry,“ — a zwracając się do murzynki dodał „moja biedna matka jest ciemna, miejcie więc łaskawie wzgląd na nią.“

„Biedna kobieta!“ rzekła Katarzyna podając pani Brander rękę. „O tak.... raz! dwa! trzy! a teraz już równo. Tu jest moja izdebka i sypialnia, a tam pokój dla moich gości! Usiądźcież! proszę.“

Ostrożnie poprowadziła ciemną do krzesła, świecę postawiła na stole i odeszła, aby zakrzątnąć się koło herbaty. Wnet pokrzepiali się już nasi znajomi gościnnie podanym posiłkiem, podczas kiedy Katarzyna wypytywała się o ich nazwisko, pochodzenie, dotychczasowe koleje i spotkanie z kapitanem.

„A teraz wy Katarzyno“ — rzekł Tomek skoro ujrzał, że ciekawość murzynki już zaspokojona, „powiedzcie nam z łaski swej, kto też jest naszym dobrodziejem? Jak się nazywa? i dlaczego tak szorstki, zimny i nieprzystępny,

choć z drugiej strony tak anielskiej dobroci. Że też nie pozwolił sobie ani jednem słowem za to wszystko podziękować!“

„Spodziewałam się tego“ — odparła Katarzyna. „Pan kapitan jest szczególniejszym człowiekiem, na pozór nieprzystępny, a złote ma serce! O znam ja go już dawno, jemu zawdzięczam życie i wolność. Jedyny to, rzadki człowiek, ten kapitan Brenner. Ale już późna godzina, jutro opowiem wam wszystko, co mi o nim wiadomo; a teraz idźcie odpocząć!“

Zaprowadziła ich następnie do sypialni, gdzie też Tomek i jego matka wkrótce błogo usnęli, pomodliwszy się wprzód gorąco do Boga o szczęście i błogosławieństwo dla swego dobroczyńcy.

II.

Żółta febra.

„O, tak ... pan kapitan jest na wskroś zacnym człowiekiem“, mówiła nazajutrz Katarzyna siedząc ze swymi gośćmi przy śniadaniu. „Zaprawdę człowiek to rzadkiej dobroci, choć cza-

sem tak się zachmurzy, tak groźno popatrzy, że aż zimno się robi. Posłuchajcie w jaki sposób go poznałam. Będzie temu już ze czternaście lat, jak byłam niewolnicą u pewnego francuskiego plantatora. Folwark ten ogromny, w którym więcej niż pięciuset pracuje niewolników, leży nad morzem, stąd o jakich dziewięć mil oddalony. Właściciel był bardzo surowy i okrutny, lecz jeszcze sroższym był jego rządca niejaki Marat. Bił każdego nielitościwie za lada przewinienie, a zwłaszcza starą Katarzynę. A za co? Za to, że znam się na rozmaitych ziołach, z których umiem przyrządzać lekarstwa, pomocne dla ludzi i bydła. Pan Marat, chciał się koniecznie dowiedzieć o tych tajemnicach. Ale musiałam ja przysiądz mojej matce, od której się wszystkiego nauczyłam, że tych tajemnic nigdy nie zdradzę żadnemu Białemu. To też ile razy Marat chciał się odemnie czego dowiedzieć, usiłując mię jużto prośbami pozyskać, lub zapłatą, jużto nastraszyć groźbami i przekleństwami, zawsze milczałam jak grób, aż Marat w końcu zniecierpliwiony zaczął się okrutnie nademną znęcać. Nie mogąc już tego dłużej wytrzymać uciekłam w lasy. Ale Marat ścigał mię, szczując psami,

które mię w końcu wytropiły; okrutnik zakuł mię w kajdany i przyprowadził na folwark. Tu pośród strasznych przekleństw poprzysiągł, że mię na śmierć zabatoży, na co i właściciel plantacyi się zgodził. W tym celu przywiązano mię do pala. Nic nie pomogły moje błagania i jęki; okrutny Marat już podniósł bicz do góry, gdy w tem zjawił się mój wybawca. „Stój!“ krzyknął na niego gromkim głosem, a wyrwawszy Maratowi bicz z ręki, tak go nim poczęstował, że tenże padł na ziemię, a sam poszedł do właściciela folwarku powiadając, że chce mię kupić. Oczywiście, że właścicielowi na nic by się już niebyła przydała na śmierć skatowana niewolnica, chętnie mię zatem sprzedał za tysiąc dolarów. Tym moim aniołem wybawcą nie był nikt inny, jak tylko kapitan Brenner. On to powrócił mi wolność, przywiózł ze sobą do Nowego Orleanu, darował mi ten oto domek, tak że obecnie, trudniąc się praniem i naprawą kaszmirowych szalów, zarabiam więcej pieniędzy niż potrzebuję i jestem najszczęśliwszą“.

„A, dalibóg! że to zacny, dobry, czcigodny człowiek ten pan kapitan, życie oddałbym za niego z ochotą!“ zawołał Tomek z rozpromie-

nionem obliczem. „A więcej już nic nie wiecie o naszym wspaniałomyślnym dobroczyńcy?“

„I owszem“, odrzekła murzynka. „Pan kapitan już od dłuższego czasu jest smutny i w złym humorze, często wygaduje na świat i na ludzi powtarzając: „że to wszystko nicponie!“ Dawniej, kiedym go tylko poznała był on całkiem inny, zawsze dobry, uprzejmy, a nadewszystko gotów każdej chwili pomagać nieszczęśliwym. Ale kapitan smutne między ludźmi poczynił doświadczenia, nieraz najhaniebniej oszukany. Zwłaszcza ostatnia przygoda bardzo boleśnie go dotknęła. Nawinął mu się raz ubogi chłopiec, który uciekł z okrętu obawiając się surowości sternika. Kapitan wziął go do siebie, oporządził, obchodził się z nim jakgdyby ze synem. Ale cóż się dzieje? W rok później wyjechał kapitan Brenner na kilka tygodni pozostawiwszy dom na opiece Daniela, gdyż tak było owemu chłopcu na imię. Lecz za powrotem nie tylko Daniela więcej nie obaczył, ale co gorsza, ani pieniędzy, ani kosztowności; ów ladaco bowiem okradł go najzupełniej i uciekł. Od tej chwili stracił kapitan swój dawny humor, chodzi smutny, zamyślony, nie ufa ludziom, lecz owszem wszyst-

kich oskarza o niewdzięczność. Uśmiech rzadko rozjaśnia jego oblicze, choć serce u niego zawsze jednakie".

„Nie ma się czemu dziwić, skoro w tak haniebny sposób został oszukany!" zawołał Tomek z oburzeniem. „Oby to mnie kiedy Bóg dozwolił wywdzięczyć się temu zacnemu człowiekowi! Niezawodnie przekonałbym go, że są jeszcze wdzięczni ludzi na świecie!"

Stara Katarzyna z zadowoleniem spoglądała na chłopca i potrząsając kędzierzawą głową tak dalej mówiła:

„Chętnie ci wierzę mój Tomku; dobrze ci z oczu patrzy, to i serce niezłe mieć musisz. Ale teraz niechno mi matka twoja powie, jak dawno ociemniała i z jakiej przyczyny?"

Pani Brander jęła opowiadać, a murzynka z wielką przysłuchiwała się uwagą.

„Niechno Pani pozwoli sobie do oczu zajrzeć" — rzekła po chwili. Nic ja wprawdzie z góry nie przyobiecuję, ale znam wiele skutecznych sposobów, to może i ślepotę dałoby się usunąć". Obejrzawszy dokładnie oczy, klasnęła z radością w ręce i zawołała:

„Bądź Pani dobrej myśli! Już ja znajdę

sposób, że do tygodnia Pani przewidzisz".

„Mocny Boże!" odezwała się pani Brander wzruszonym głosem. „Mamże temu wierzyć? To byłoby nowem dobrodziejstwem, którebyśmy kapitanowi Brennerowi mieli do zawdzięczenia!"

„Bóg by się widocznie nad nieszczęśliwymi zlitował" rzekł uradowany Tomek. „O gdybyś ty matko droga mogła wzrok odzyskać, uważałbym moje najgorętsze życzenie za spełnione!"

„Nie oddawajmy się mój synu przedwczesnej radości" uspokajała matka. Gdybyśmy już teraz z pewnością na to liczyli, a środki Katarzyny niedopisały, tobyśmy tylko tem boleśniejszego rozczarowania doznać mogli".

„Nie obawiajcie się!" rzekła na to murzynka, wynosząc ze swej izdebki mały słoiczek z jakąś zielonkowatą maścią. „Już ja ręczę za to, że ta maść Pani pomoże, proszę tylko przymknąć oczy na chwilę!"

Pani Brander posłuchała i wsparła głowę na poręczy krzesła, Katarzyna zaś tymczasem, dobywszy troszkę maści, roztarła w palcach i posmarowała nią powieki ciemnej.

„Na dziś wystarczy" rzekła — „jutro powtórzymy to samo, a za tydzień będzie już dobrze.

Ho! ho!... mam ja skuteczne leki!“

Po śniadaniu zebrał się Tomek i wyszedł z tym zamiarem, ażeby czyto w przystani, czyto gdzie indziej oglądnąć się za zarobkiem, co tym razem udało mu się nadspodziewanie prędko.

U grobli usunął się mur w jednem miejscu, a gdy Tomek ujrzał tam właśnie robotników zajętych naprawą, zbliżył się do nadzorcy i ofiarował mu swoje usługi.

„Jak widzę jesteś moim rodakiem“ — odrzekł nadzorca — „a rodacy winni się zawsze wspierać, spotkawszy się na obcej ziemi, zatem nie odprawię cię z niczem. Czy widzisz ten okręt dwumasztowy, stojący u grobli na kotwicy?“

„Widzę, Panie!“

„Dobrze! Znajdziesz na nim wapno i kamienie, potrzebne nam do podmurowania, przywieź-że stamtąd na taczkach tyle, ile możesz. Taczki dostaniesz na pokładzie, wyda ci je sternik za okazaniem tej karteczki“.

„A ileż przy tem zarobię“, zapytał Tomek skromnie.

„Dolara dziennie, a może i więcej, jeżeli będziesz pilnie pracował“.

„Dziękuję Panu“, zawołał ucieszony chło-

piec skłoniwszy się grzecznie. „A teraz dalej do roboty!“

Tomek wziął się raźno do roboty i cały dzień woził bez ustanku wapno i kamienie, a wieczorem z radością schował do kieszeni ciężko zapracowanego dolara.

„Jutro i dni następnych możesz przyjść znowu“ rzekł do niego dozorca przy pożegnaniu, „widzę, że się nie lenisz i umiesz pracować. Takich nam właśnie potrzeba, a zatem do widzenia!“

Uradowany przybiegł Tomek do domu i oddał matce cały swój zarobek.

„Teraz droga matko“ — zawołał z rozjaśnionem obliczem — „możemy już żyć spokojnie. Nadarza mi się sposobność zarabiać co dzień dolara przy budowie grobli, a budowa ta zapewne nie skończy się przed upływem kilku miesięcy“.

Matka serdecznie uścisnęła pracowitego syna, gdyż ta pomyślna wiadomość była prawdziwą ulgą dla jej ciężko skołatanego serca.

Co wieczór przynosił Tomek zarobionego dolara ku wielkiemu swemu zadowoleniu. Radość jego była tem większą, kiedy szóstego dnia za powrotem przywitała go matka drżącym od wzruszenia głosem:

„Tomku, Tomku mój drogi! patrz ja przejrzałam, znowu mogę oglądać światło boże!“

Tomek nie umiał wyrazić swej radości, rzucił się matce na szyję, a stara Katarzyna, stojąc obok, potrząsała kędzierzawą głową z uśmiechem tryumfu.

„A przecież wam przepowiedziałam“, powtarzała. „Już to wszystko spełnić się musi, co Katarzyna przyobieca“.

Nazajutrz była niedziela. Około dziesiątej przed południem nadszedł kapitan Brenner, aby się dowiedzieć o swoich protegowanych i nie taił zadowolenia usłyszawszy, że ubiegły tydzień był tak szczęśliwy.

„Postępuj tylko tak dalej jak zacząłeś“, odezwał się do Tomka. „Zapewne pomówię jeszcze z tobą zanim odjadę, a tymczasem bywaj zdrów!“

„Więc pan zamyślasz odjechać?“ zapytał Tomek zakłopotany.

„Cóż ciebie to może obchodzić?“

„O, bardzo przykro mi że może pana kapitana nie wnet zobaczę“.

„Brednie!“

„Nie, nie, kochany panie! Mówię całkiem szczerze, bo cóż naturalniejszego jak kochać,

tych, którzy tak hojnie dobrodziejstwami szafują?“

„Kochać? Chcesz więc przez to powiedzieć, że mię kochasz?“ mówił dalej kapitan, spoglądając niedowierzającym wzrokiem.

„O tak, panie, z całego serca!“ powtórzył chłopiec.

Kapitan znowu spojrzał na chłopca przenikliwem okiem, a potem odwróciwszy się nagle wyszedł z pokoju wyrzekłszy zimno: „Do widzenia!“

„Nie wierzy mi“, zauważał smutno Tomek — mniejsza o to, przecież może znajdę kiedy sposobność, ażeby go o mej wdzięczności przekonać!“

Sposobność ta nadarzyła się prędzej, niż Tomek przypuszczał.

Nazajutrz po odwiedzinach kapitana, przyniesiono z miasta starą Katarzynę na noszach do domu. Spłoszone konie obaliły ją na ziemię i stratowały, przy czem biedna Katarzyna złamała nogę. Ten smutny wypadek przykuł ją na kilka tygodni do łóżka, a pani Brander chociaż mocno bolała nad Katarzyną, cieszyła się w duszy, że troskliwą pielęgnacyą będzie jej mogła

choć w części odwdzięczyć się za tak niespodziewane przywrócenie wzroku. Kapitan Brenner, dowiedziawszy się o wypadku Katarzyny, odwiedził ją w dwa dni później i widocznie był zadowolony, gdy ujrzał panią Brander troskliwie czuwającą przy łożu murzynki.

„Wybacz panie kapitanie“ — rzekła nieco zakłopotana Katarzyna do wchodzącego — „niebyłabym nigdy odważyła się prosić panią Brander o opiekę nade mną, ale skoro ta zacna kobieta sama ofiarowała mi się z posługą, trudno jej było odmówić“.

„Postąpiła sobie uczciwie“ rzekł na to kapitan, spojrzawszy uprzejmie na panią Brander. „Cieszy mię to! a teraz Tomku przychodź do mnie codzień donosić mi o zdrowiu Katarzyny. Wiesz gdzie mieszkam, a gdybyście potrzebowali pieniędzy udaj się do mnie. Życzę ci Katarzyno rychłego wyzdrowienia!“ Z temi słowy wyszedł kapitan szybko z pokoju, zanim jeszcze Katarzyna zdołała mu podziękować.

Tomek co dzień idąc na robotę wstępował do kapitana z doniesieniem o zdrowiu chorej i przynosił codzień pomyślniejsze wiadomości, pokazało się bowiem, że Katarzyna prócz nadwe-

rężenia nogi nie poniosła żadnego cięższego uszkodzenia.

Tymczasem upłynął czerwiec i nadszedł lipiec a z nim upały, o jakich dotąd Tomek niemiał nawet wyobrażenia. Z nieba sypały się ogniem ziejące promienie i okropnie dopiekały. Rozpalona ziemia pękała od skwaru, powietrze było tak duszne, że tamowało oddech, a nawet najlżejsza praca wyciskała rzęsisty pot na czole.

Pod dachem upał nie dawał się tak dokuczliwie we znaki, ale Tomek powróciwszy pewnego razu po całodziennej pracy pod gołem niebem, uskarzał się na straszne gorąco, które go bardzo wycieńczyło.

„O tak“ rzekła Katarzyna „już nadciąga rudy Kuba, wkrótce usłyszymy o licznych chorobach i wielkiej śmiertelności“.

„Cóż to jest ten rudy Kuba?“ zapytał Tomek.

„Jakto? jeszcze nie słyszałeś o tem mój chłopcze?“ rzekła murzynka. „Rudy Kuba to niebezpieczny wróg Białych, mieszkających w Nowym Orleanie! Tak nazywają tu żółtą febrę, z którą nie ma żartu. Dziś jesteś zdrów jak ryba, a jutro leżysz bez ducha! Biali nie mają środka

przeciw tej strasznej chorobie, ja zaś znam wprawdzie lekarstwo, lecz i to nie zawsze pomaga. Oj bieda z tą żółtą febrą, uważaj więc chłopcze na siebie, nie pracuj w południe, tylko rano i wieczorem. Nie narażaj też nigdy głowy na palące promienie, ale osłaniaj lekkim kapeluszem słomianym o szerokich kresach. Rozumiesz?“

„Wszystko wypełnię święcie, coście mi zalecili Katrzyno,“ odrzekł Tomek. „W istocie, dziś około południa nie byłem już w stanie pracować i uważałem, że większa część murarzy i robotników zaniechała roboty.“

„Oczywiście, że lepiej wtenczas nie pracować“ dorzuciła Katarzyna.

„Ale kiedyż ja muszę; wszak nie mogę matki i was, Katarzyno narażać na niedostatek, Bóg mi nieodmówi swej świętej opieki“ — odezwał się na to Tomek. „Zresztą będę na siebie uważał wstrzymując się od pracy w skwarne południe.“

Minęły znów trzy dni, a straszny upał wzmagał się ustawicznie, Tomek mimo to rąk nie opuszczał, ale codzień rano biegł najprzód do kapitana a ztamtąd na groblę na zarobek.

Pewnego poranku nie minęło jeszcze pół godziny od chwili, jak wyszedł z domu, gdy na-

gle powrócił zadyszany i przerażony.

„Co ci jest Tomku?“ zapytała matka, z trwogą ku niemu pospieszając.

„Mnie nic dzięki Bogu“ — odrzekł urywanym głosem, — “ale pan kapitan! Kiedym wszedł do pokoju, leżał jeszcze w łóżku i nieprzytomnie majaczył. Twarz jego pokryta straszną bladością, oczy świecą złowrogim połyskiem; nie poznał mnie i tylko woła ustawicznie, ażeby przyszła Katarzyna wypędzić rudego Kubę z jego mieszkania. W śmiertelnej trwodze, nie wiedząc co robić przybiegłem was zapytać o radę!“

„Biedny kapitan!“ jęknęła Katarzyna. „On tam leży bez przytomności, a ja nie mogę się zerwać, ażeby mu przynieść ulgę. Ach co za nieszczęście! On jutra nie doczeka!“

„A nie mógłżeby kto inny zaradzić. Może ja wam się przydam na co?“ wtrącił Tomek.

„Niepodobna! przypłaciłbyś to życiem, bo żółta febra bywa zabójczą dla Białych. Tylko murzyni drwią sobie z tej strasznej choroby!“

„Ależ ja wcale się nie obawiam! odrzekł Tomek stanowczo. „Niechaj będzie co chce, ja natychmiast biegnę do kapitana i nie odstąpię jego łóżka. Wszak mi zezwolisz mateczko! Wie-

cie ile kapitanowi zawdzięczamy, a oto teraz nadeszła stosowna chwila do uiszczenia się z długu wdzięczności. Nie dopuszczę, ażeby nasz dobroczyńca musiał umierać dla braku opieki. Może Bóg pobłogosławi moim usiłowaniom i powróci mu zdrowie. Do widzenia mateczko."

„Zatrzymaj się Tomku" zawołała Katarzyna, kiedy Tomek już chwytał za klamkę. „Zaczekaj jeszcze chwilkę i zbliż się do mego łóżka."

Tomek niechętnie wrócił się z progu z zapytaniem: „Cóż takiego?"

„Czy ty w istocie chcesz pójść do kapitana, ażeby go doglądać?"

„Oczywiście! Nie zatrzymujcież mię dłużej, bo nie ma ani chwilki do stracenia!"

„Ale żółta febra, Tomku zabije cię niezawodnie!"

„Et, co tam! nie mam ja przed nią strachu! A zresztą zawdzięczam kapitanowi życie i uzdrowienie mojej matki, dlatego gotów jestem narazić się na wszelkie niebezpieczeństwa!"

„Dzielny z ciebie chłopiec i złote masz serce! Jeśli tak myślisz, nie będę cię dłużej zatrzymywać. Nareszcie, prawdę powiedziawszy, żołta febra nie bywa tak bardzo niebezpieczna dla tych,

którzy się jej nie lękają. A zatem idź do kapitana, ale podaj mi jeszcze przedtem skrzyneczkę, która tam stoi na szafie“ rzekła Katarzyna.

Tomek przyniósł do łóżka Katarzyny wskazaną skrzyneczkę, a ona dobyła kluczyka, otworzyła ją i wyjęła z niej małe pudełeczko napełnione jakimś białym proszkiem, tudzież flaszeczkę ciemnoczerwonego płynu.

„Weź to ze sobą“ mówiła Katarzyna zamykając skrzyneczkę. „Skoro przyjdziesz do kapitana, dasz mu najpierw łyżeczkę tego czerwonego płynu, a chory wnet zaśnie. Gdy się obudzi, weźmiesz znów łyżkę stołową wody i rozpuściwszy w niej pół łyżeczki tego białego proszku, dasz mu zażyć. Po godzinie zadasz mu znowu łyżeczkę czerwonego płynu i pół łyżeczki proszku w wodzie. Czy zrozumiałeś mię?

„Zrozumiałem!“ odpowiedział Tomek i powtórzył dokładnie wszystko, co mu Katarzyna zaleciła.

„Tak! dobrze! A teraz jeszcze jedna przestroga dla ciebie“ dodała murzynka. „Jeżelibyś doznał bolu głowy, albo czuł ociężałość w członkach zażyj także troszkę białego proszku a żółta febra ci się nie czepi, zwłaszcza jeśli się jej nie

obawiasz. Teraz zaś biegnij co sił starczy, bo żółta febra nie lubi zwlekać!“

Tomek nie pozwolił sobie tego dwa razy powtarzać. Uścisnąwszy rękę Katarzyny i ucałowawszy matkę pobiegł co tchu.

W kilka minut był już w mieszkaniu kapitana, którego zastał bez przytomności; chory nie miał już prawie władzy w członkach. Krzyczał tylko i jęczał spalone i popękane usta drżały, oczy krwią mu podeszły, kiedy niekiedy rzucało nim konwulsyjnie, chociaż nogi i ręce leżały bezwładnie jakby ołowiane. To też z łatwością mógł Tomek wlać kapitanowi do ust łyżeczkę lekarstwa i wnet ujrzał z radością, że ucichły jęki chorego, a sen przymknął mu powieki. Kilka jeszcze westchnień dobyło się z jego piersi. a potem już spał cicho i spokojnie jak dziecię na łonie matki.

Tomek usiadł przy łożu kapitana i pilnie go badał. O siebie nielękał się wcale, gdyż myślał jedynie o swoim dobroczyńcy i jedno tylko żywił pragnienie, ażeby troskliwą opieką ocalić życie choremu, który w tej chwili jeszcze pasował się ze śmiercią.

Chory spał blisko godzinę, poczem zbudził

się i spojrzał dokoła siebie wzrokiem jeszcze nie całkiem pewnym, ale nieco przytomniejszym. Spostrzegłszy Tomka zadziwił się i potarł ręką po czole.

„Zkąd się tu wziąłeś?“ zapytał słabym głosem. „Gdzie jest Jan, mój służący?“

„Jana tu nie widziałem“ odrzekł Tomek „ale tymczasem ja zajmę się doglądaniem pana.“

„Nędzny służalec!“ mruknął kapitan przez zęby. „Ale ty, nieszczęsny,“ ciągnął dalej zwróciwszy się do Tomka — „czy nie widzisz, że leżę dotknięty zaraźliwą, zabójczą żółtą febrą?“

„Owszem, wiem o tem dobrze i właśnie dlatego przyszedłem panem się opiekować“ odpowiedział Tomek. „Katarzyna nie mogąc tu osobiście przybyć, skutkiem swej nadwerężonej nogi, dała mi dla pana lekarstwo. Niechże pan zażyje teraz nieco tego proszku a niezawodnie sprawi panu ulgę!“

„Poczciwa Katarzyna!“ szepnął kapitan. „Podaj mi lekarstwo!“

Tomek wsypał wedle przepisu trochę proszku do łyżki wody i podał kapitanowi, który zażywszy lekarstwo, leżał długi czas spokojnie z przymkniętemi oczami.

„Co za okropna gorączka!“ odezwał się po chwili. „Omal mi głowy nie rozsadzi, leżę jakby w płomieniach. Ach moja głowa!“

„Mocny Boże! cóż ja na to poradzę?“ westchnął Tomek. „Katarzyna nic więcej nie poleciła, jak tylko zadawać lekarstwo i proszek. Ale zdaje mi się, że to panu niepomaga! Nie byłoby też dobrze gdybym Panu dał zimny okład na głowę? Mnie przynajmniej środek ten bardzo dobrze zrobił, gdym przed dwoma laty cierpiał na mocny ból głowy. W żadnym razie nie może to zaszkodzić, a więc warto spróbować“.

Wyrzekłszy to, wybiegł na podwórze i w okamgnieniu powrócił z konewką świeżej wody. Zamaczał kilka serwet, poczem obłożył niemi rozpaloną głowę chorego. Skoro tylko serwety się ogrzały, zastępował je świeżemi i powtarzał to przez całą godzinę.

„Jakże mię to orzeźwia!“ rzekł kapitan półgłosem, powracam do przytomności. „Więcej, więcej wody, gorączka zwolna ustępuje“.

Tomek bez ustanku zmieniał okłady podając kapitanowi wśród tego to lekarstwo, to proszki i nie odpoczął wprzódy, dopokąd kapitan znowu nie usnął. Pod wieczór chory spał już

twardo i bardzo spokojnie.

Skorzystał Tomek z tej chwili, ażeby donieść swej matce, a zwłaszcza Katarzynie o stanie pacjenta. Cichutko wymknął się z pokoju, drzwi zamknął na klucz przed nieproszonymi gośćmi i pospieszył co tchu do domu. Skoro tu zdawał sprawę o przebiegu choroby i nadmienił o zimnych okładach, krzyknęła nagle Katarzyna, bijąc się pięścią po głowie.

„Jakaż ja głupia“ zawołała z gniewem, „zapomniałam na śmierć o zimnych okładach! Biedny kapitan byłby już niezawodnie skończył do tej chwili, gdybyś sam nie był wpadł na ten pomysł. Bardzo rozsądnie sobie postąpiłeś, a kapitan jedynie tobie ma zawdzięczać ocalenie. Jak można było o tem zapomnieć, same leki nie byłyby go nigdy uratowały. Jakaż ja nierozważna, widocznie już dawno nie pielęgnowałam dotkniętych żółtą febrą. Biegnijże teraz Tomku i ciągle postępuj tak samo a zwłaszcza nie zapominaj o zimnej wodzie! A jakże z twojem zdrowiem?“

„Ja mam się wybornie, tylko mi już głód bardzo dokucza“ odrzekł Tomek.

Natychmiast pobiegła matka do kuchni i przyniosła mu resztki z obiadu oraz kieliszek

wina a Tomek spożył to wszystko w okamgnieniu z prawdziwie wilczym apetytem, potem zaś nie tracąc ani chwilki powrócił do chorego. Bardzo się uspokoił zastawszy kapitana jeszcze spiącego i natychmiast zmienił mu okład. I to jeszcze nie przebudziło chorego, spał spokojnie aż do północy, poczem podniósłszy się nieco zażądał wody. Tomek podał mu pełny dzban, a chory wypił go duszkiem do ostatniej kropelki. Widocznie orzeźwiony przymknął znów powieki i niezawodnie byłby natychmiast zasnął, gdyby go Tomek nie był nakłonił usilnemi prośbami do ponownego zażycia lekarstwa.

„To już zbyteczne“ rzekł kapitan, „czuję, że choroba się przełamała i że wracam do zdrowia“.

Nic nie pomogły te przedstawienia, Tomek nie ustąpił, dopokąd kapitan nie przyjął jeszcze jednej łyżki lekarstwa. Po kwadransie usnął pacjent jeszcze mocniej, tak, że Tomek mógł bez przeszkody zmieniać okłady. Wprawdzie i jemu zaczęły się już kleić oczy, lecz pomny przestróg Katarzyny, żeby nie ustawał zmieniać okładów, nie poddawał się senności.

Około piątej godziny rano chory spocił się

bardzo mocno, a oddech jego stawał się czemraz spokojniejszy, regularny i głęboki.

Tomek pookrywał go starannie kołdrami, aby nie przerywać tak zbawiennych potów.

Wreszcie około ósmej kapitan znowu przetarł oczy i spojrzał dokoła tak jasnym i wesołym wzrokiem, że Tomek nie mógł zataić swej radości.

„Jakaż to różnica w oczach dziś, a wczoraj rano!“ zawołał uradowany. „Dzięki Najwyższemu febra już ustąpiła, a Pan powracasz do zdrowia!“

„Istotnie, mój kochany chłopcze, widzę że niebezpieczeństwo minęło“ odrzekł kapitan cichym, ale pewnym i spokojnym głosem. „Czuję tylko jeszcze pewne osłabienie i ociężałość; ale gorączki, która mię wczoraj pożerała, nie ma już ani śladu. Dotknij się mojej ręki — nieprawda? nie jest już ani trochę rozpalona, owszem chłodna!“

Tomek dotknął się ręki, a przycisnąwszy ją do ust zwilżył łzami radości.

„Ty płaczesz? zapytał kapitan zdziwiony.

„To z radości, że Bóg nam Pana ocalił“ odrzekł Tomek.

„Tak jest, przedewszystkiem Bóg, a potem

ty!“ rzekł kapitan łagodnie. Pomówimy o tem jeszcze kiedy indziej skoro już całkiem wyzdrowieję, a teraz sądzę, nie zaszkodziłoby mi zjeść coś lekkiego“.

„I owszem“ odpowiedział Tomek, „w tym celu jednak niech mi Pan pozwoli pobiegnąć do Katarzyny, ona bowiem najlepiej będzie wiedziała, co Panu podać wolno“.

„Dobrze mówisz Tomku! Idźże więc do niej i poradź się — a ja cierpliwie będę czekał twego powrotu. Postaw tylko jeszcze jeden dzbanek wody przy łóżku“.

Zastosował się Tomek do tego życzenia, a potem pobiegł jak strzała do domu z radośną wieścią o tak szczęśliwym przebiegu choroby. Równocześnie doniósł, że pacyent odzyskał apetyt.

„To bardzo dobry znak“ rzekła ucieszona Katarzyna. „Skoro kapitan ma apetyt, niechże je, ale bardzo ostrożnie!“

Następnie przepisała dyetę, a zarazem wskazała Tomkowi dokąd ma się udać na zakupno. Poczciwy chłopiec spełnił jej wszystkie rozkazy jak najściślej, a kapitan powrócił po kilku dniach zupełnie do zdrowia tak, że wkrótce mógł już

podźwignąć się z łóżka.

Pierwsze kroki zwrócił oczywiście do Katarzyny, która go przyjęła ze łzami radości.

III.

Tomek w służbie.

Tomek znowu powrócił do dawnego zajęcia przy budowie grobli. Pewnego razu, kiedy matka jego wyszła do miasta na zakupno, a Katarzyna, nie mogąc się jeszcze z łóżka podźwignąć, została w domu, nadszedł kapitan.

„Bogu Najwyższemu dzięki! że pana kapitana znowu mam szczęście powitać w moim domu!“ — zawołała z radością Katarzyna.

„Twoim to zawdzięczam lekom i troskliwej opiece Tomka“, odrzekł kapitan. „Zaiste dzielny to chłopiec i niemałe złożył dowody zaparcia siebie samego. Bardzobym rad mu to wynagrodzić, i właśnie chciałem cię w tej mierze zapytać o radę, bo niezawodnie znasz lepiej odemnie jego życzenia“.

„Nie ma on innych życzeń nad ulżenie matce, odpowiedziała Katarzyna. „Jestto rzeczy-

wiście chłopiec bardzo prawy, który nie zważając na siebie, gotów wedle możności drugim poświęcać swe usługi. Ja bym radziła panu kapitanowi przyjąć go do służby. Będzie on lepszy i wierniejszy niż Jan, i zapewne nie ucieknie przed żółtą febrą. Lepszego służącego nad Tomka daremnie byś pan szukał!“

„Tak bliskiego stosunku nie życzyłbym sobie!“ odrzekł kapitan nieco zakłopotany. „Prawda że pielęgnował mię w chorobie bardzo troskliwie, lecz nie jest to jeszcze dostatecznym dowodem jego uczciwości. Wszakże wiesz Katarzyno ile już gorżkich w życiu doznałem zawodów. Zanim się zdecyduję obdarzyć go mojem zupełnem zaufaniem i zbliżyć do siebie, chciałbym wprzód dokładnie zbadać jego charakter“.

Katarzyna roześmiała się na te słowa i rzekła:

„Są to dawne uprzedzenia, o których i słyszeć nie chcę. Za Tomka ręczę, że jest zacnym i dobrym chłopcem. Poco tu jeszcze więcej dowodów? ręczę, że i pan dzielisz to przekonanie, że Tomek nie opuści pana w niebezpieczeństwie!“

„Hm! To się dopiero pokaże“, odparł kapitan. „Doglądał on mię wprawdzie w chorobie, ale któż zaręczy, że czynił to bez własnych wi-

doków? Może liczył na hojną nagrodę, a może nie znał niebezpieczeństwa, którego cudem uszedł?“

„Ależ panie kapitanie?“ rzekła murzynka, „pan tak źle nie myślisz jak pan mówisz. Znam ja dobrze pańskie serce. Albo może i ja jestem niedobra i niewdzięczna? Co? Czy może pan przypuszczasz, że w zarozumieniu, iż moje leki pana uratowały zażądam pełnej garści dolarów?“

„Bynajmniej! Nie myślę tego, bo ciebie już poznałem!“ — odpowiedział kapitan.

„A Tomka pan jeszcze nie znasz? Czy może już zażądał jakiej zapłaty za pielęgnowanie pana?“

Kapitan zmieszał się nieco, i nie śmiejąc spojrzeć Katarzynie w oczy odezwał się po chwili:

„Nie gniewaj się Katarzyno! — może niesłusznie niedowierzam temu chłopcu. Ale któż przyczyną mojej podejrzliwości, jeśli nie świat i źli ludzie?“

„Ani świat nie jest taki zły, ani też wszyscy ludzie tacy niedobrzy“, żywo odparła Katarzyna. „Tomka poznałam i wiem, że jest na wskroś poczciwy. Nie myśli on ani o sobie, ani o nagrodzie, szczęśliwy, że ocalił swego dobroczyńcę. Posłuchaj pan mię, przyjmij Tomka do służby,

a pewnie nie pożałujesz!“

„A zechce on matkę opuścić? pytał kapitan dalej, widocznie nie zdecydowany co począć. „Ja niedługo już zabawię w Nowym Orleanie. Za kilka dni zamierzam wyjechać do mych plantacyj, a potem, naładowawszy okręt ziemiopłodami, ruszyć jak co roku w drogę, aby spieniężyć zapasy kawy, herbaty i bawełny. Podróż moja potrwa sześć do siedmiu miesięcy, a może i dłużej. Czy myślisz, że Tomek zgodzi się na tak długą rozłąkę?

„Niech się go Pan sam zapyta“ — odrzekła Katarzyna. „Wiem, że Tomek niczego więcej nie pragnie, jak tylko widzieć swą matkę szczęśliwą, jeżeli zatem pan kapitan przyrzekniesz pamiętać o niej, pojedzie z panem najchętniej, tem bardziej, że jest do pana szczerze przywiązany“.

„Przywiązany do mnie?.. i bez samolubnych widoków?“ zauważał kapitan z niedowierzaniem.

„Tak jest Panie!“ odparła szybko Katarzyna, już nieco tem zniecierpliwiona.

„A więc spróbuję“ rzekł kapitan po chwilowym namyśle. „Jutro przyjdę tu znowu i za-

pytam go czy zechce przyjąć u mnie służbę. O moich zamiarach nikomu nie wspominaj, chciałbym się bowiem naocznie przekonać, jak moja propozycya zostanie przyjętą. Wszak zrozumiałaś mię Katarzyno?“

„Najzupełniej i będę milczeć jakbym o niczem nie wiedziała!“ Wkrótce potem oddalił się kapitan, a Katarzyna, spoglądając za odchodzącym, radośnie zacierała ręce. „Dobry człeczysko z tego kapitana“ mówiła do siebie — „szkoda tylko, że tak gorżko do świata uprzedzony. Nie wątpię jednak, że się jeszcze zmieni, skoro tylko bliżej pozna przywiązanie Tomka“.

Nazajutrz, wkrótce po wschodzie słońca, zanim jeszcze Tomek wyszedł na robotę, zjawił się nagle kapitan i zastał Tomka wraz z matką śniadających przy łóżku Katarzyny. Serdecznie powitany skłonił uprzejmie głowę i natychmiast odezwał się do Tomka.

„Słuchajno chłopcze, a również i panią Brander proszę o chwilę uwagi. Jak wam wiadomo, porzucił mię mój dotychczasowy służąey z obawy przed żółtą febrą, a to zniewala mię poszukać sobie innego. Potrzeba mi młodego, zdrowego, chętnego do pracy, a przedewszystkiem rzetel-

nego człowieka, i gotów jestem dać mu 30 dolarów miesięcznej zasługi, utrzymanie, ubranie i wszystko zresztą, czego będzie potrzebował. Za to musi być przy mnie na każde skinienie, musi jutro wyjechać ze mną do moich dóbr, a następnie towarzyszyć mi w dłuższej podróży morskiej, która może potrwać siedm do ośm miesięcy. Czy nie znasz Tomku jakiego chłopca, któryby u mnie służbę przyjąć zechciał?“

Tomek, który od pierwszej chwili przysłuchiwał się bardzo uważnie słowom kapitana, zarumienił się po uszy, a spojrzawszy na matkę iskrzącym od radości wzrokiem, zerwał się ze stołka i odezwał się:

„I owszem panie kapitanie, właśnie znam takiego, jakiego panu potrzeba!“

„Któż to taki?“

„Ja sam, jeśli pan nic przeciwko temu mieć nie będziesz!“

„Jakto, chciałżebyś matkę opuścić?“

„Nie na zawsze, tylko na siedm, lub ośm miesięcy, a zresztą, jak długo będę w służbie u pana kapitana, mogę być spokojny o los mojej kochanej matki“.

„Jak to rozumiesz?“

„Rzecz bardzo prosta! Jak długo będę służył u pana, nie potrzebuję wcale pieniędzy, albo tylko bardzo mało, mógłbym zatem prawie całą zapłatę oddawać mej matce. W takim zaś razie mogłaby ona aż do naszego powrotu zamieszkać u poczciwej Katarzyny, która jej pewnie ze swego domku nie wypędzi“.

„A co potem?“

„O to się nie troszczę; już ja tak wiernie służyć będę, że pan zapewne nie będzie miał powodu tak rychło mię oddalić“.

„Nie zamierzasz przecie przez całe twe życie być służącym, bo cóż to za przyjemność być wiecznie niewolnikiem drugiego?“

„O siebie niedbam wcale, panie kapitanie! Niech tylko moja matka będzie zadowolona, a z pewnością i mnie do szczęścia nic nie braknie. A zresztą, pan jesteś moim dobroczyńcą, pan wyrwałeś nas z najstraszniejszej niedoli, pan uratowałeś nas od śmierci głodowej, a za to nigdy nie przestanę być wdzięczny!“

„A pani Brander co myśli o tem? zdaje mi się, że widzę łzy w jej oczach?“

„Tak, panie kapitanie, ale to łzy radości, wylane z powodu syna, który tak matkę kocha,

że chętnie o sobie zapomina, byle tylko jej dobrze się działo!“

„A czy pani pozwolisz mu odjechać zemną?“

„Jeśli go Pan przyjmujesz do służby, pozwalam bardzo chętnie, jestem bowiem przekonaną, że będziesz dla niego surowym, ale zarazem i dobrym panem!“

„A zatem zgoda!“—rzekł kapitan po chwilce namysłu. „Przyjmuję Tomka do służby i spodziewam się, że żaden z nas tego nie pożałuje!“

Tomek nie posiadał się z radości, a matka czule go uścisnęła.

„Wszystko wybornie się złożyło,“ — dodała Katarzyna. „Pan Kapitan będzie miał dobrego służącego, a Tomek dobrego pana.“

„Daj Boże!“ rzekł kapitan, a potem dorzucił: „Czy w istocie zamyślasz Tomku część twych zasług matce posyłać?“

„A jakże inaczej? może nawet wszystko jeśli to tylko możebnem się okaże. U pana w służbie nie wiele mi będzie potrzeba.“

„Kiedy tak“ — rzekł kapitan, dobywając rulon dukatów i kładąc go na stole — „to pani Brander zechce przyjąć pierwszą połowę zasług Tomka. Gdyby zaś Tomek, jak długo u mnie

zostaje, miał jakie potrzeby, może zawsze liczyć na chętną pomoc z mojej strony. A teraz mój chłopcze, pożegnaj się z matką i Katarzyną, jutro bowiem musimy już przed wschodem słońca być na pokładzie parowca, przedtem zaś nie jedno jeszcze wypadnie nam załatwić."

Tomek nie zwlekał. Matka ucałowała go i pobłogosławiła, a Katarzyna ściskając go za ręce rzekła:

„Idź z Bgiem i nie troszcz się; ja będę czuwać nad twoją matką."

Za chwilę Tomek był już z swym panem na ulicy; towarzyszyły mu ciche modły matki, zanoszone za jego powodzenie przed tron Najwyższego.

IV.

Na wodach Mississippi.

Jeszcze tego samego dnia wieczorem wysłał kapitan Tomka z pakunkami na pokład Amazonki potężnego parowca, na którym zamierzał dostać się do Shenondach swojej plantacji, położonej nad Mississippi.

Tomek złożywszy kuferki podróżne w kajucie już przedtem zamówionej, wyszedł na pokład, ażeby odetchnąć świeżem powietrzem i rozglądnąć się w nowem otoczeniu.

W przystani spoczywało około dwadzieścia okrętów na kotwicy, połączonych z brzegiem za pomocą długich pomostów, używanych zazwyczaj do umożliwienia przystępu. Niektóre z tych okrętów dopiero co przybyły z dalekiej podróży, inne przygotowywały się właśnie do odpłynięcia, co można było odgadnąć po kłębach czarnego dymu buchającego z olbrzymich kominów; inne wreszcie, jakgdyby drzemały, milczące i bez ruchu, snać bowiem służba i oficerowie poszli w mieście szukać rozrywki.

W przystani, zazwyczaj tak gwarnej, i pełnej życia, panował teraz zupełny spokój i cisza. Tylko w jednem miejscu w pobliżu Amazonki, gdzie stał drugi jeszcze, równie wielki parowiec, gapiła się garstka ciekawych. Właśnie zamierzał Tomek dowiedzieć o przyczynie zbiegowiska, kiedy zbliżył się do niego sternik Amazonki, który przyglądając się, uważnie drugiemu parowcowi odezwał się:

„Nie ma co mówić, piękny okręt! Będziemy

z nim mieć nie mało kłopotu; mimo to jednak nie obawiam się, ażebyśmy zostali pobici.“

„Jak pan to rozumiesz?“ zapytał Tomek zdziwiony. „Czy te okręty mają walczyć ze sobą?“

„Tak jest!“ odrzekł sternik — „przygotowują się wyścigi. Widzisz przecie, że „Krokodyl“ jest nowiuteńkim okrętem, dopiero co z warstatu spuszczczonym. Dziś odbędzie pierwszą próbę, a nasz parowiec puszcza się z nim w zawody, o czem cała Ameryka przynajmniej przez tydzień rozprawiać będzie.“

„Ale na cóż te wyścigi“ — pytał dalej Tomek — „to przecież może być połączone z niebezpieczeństwem dla podróżnych?“

„Ba, dla podróżnych jest to tylko igraszką, miłą rozrywką, ale dla właścicieli obydwóch okrętów sprawą nie małej wagi. Zdaje mi się, że jesteś jeszcze frycem, nieobeznanym z amerykańskimi zwyczajami, objaśnię cię zatem w tej sprawie. Otóż statek, który odniesie zwycięstwo przy takich wyścigach, zapewnia sobie od razu wielkie wzięcie u publiczności, złożywszy bowiem dowody swej chyżości, staje się tak powszechnie ulubiony, że jak długo tylko kupy się trzyma, chociażby nawet na nim ceny jazdy

o kilka dolarów były wyższe, niż na innych statkach krążących po Mississippi, nigdy nie może się uskarzać na brak pasażerów. Amerykanie są szczególniejszymi ludźmi i chętnie płacą byle tylko mogli płynąć na osławionym i w modzie będącym okręcie. Rozumiesz pan?“

„Pojmuję, że właścicielom okrętów chodzi o zrobienie dobrego interesu“ — odrzekł Tomek. „Co do mnie jednak, nie radbym teraz na żadnym z nich podróżować i serdecznie żałuję, że mój pan zmienił swój pierwotny zamiar.“

„Jaki zamiar?“

„Zamyślał zrazu wyruszyć dopiero jutro rano, ale przed godziną, zachęcony orzeźwiającym chłodem wieczornym, zmienił postanowienie i wysłał mnie z pakunkami na pokład. Oczekuję go lada chwila.“

„Wasz pan postąpił sobie na każdy wypadek bardzo rozsądnie, gdyż upał na wodach Mississippi, a zwłaszcza w teraźniejszej porze, bywa prawdziwie nie do wytrzymania. Prócz tego będzie miał przyjemność brać udział w wyścigach.“

„Miła przyjemność“ zauważał Tomek półgłosem, a potem dodał: „A któż ręczy za życie i bezpieczeństwo podróżnych, jeśli w drodze wy-

darzy się nam jakie nieszczęście?“

„Oto nie pytają w Ameryce, każdy niech sobie radzi, jak umie“ — odpowiedział sternik obojętnie i wykręciwszy się na pięcie, poszedł za swymi interesami.

W kilka minut później wszedł na pokład kapitan Brenner. Tomek pobiegł naprzeciw, wskazał mu zamówioną kajutę, a zarazem doniósł co usłyszal od sternika.

„Wyścigi?“ zawołał kapitan. „To mnie wcalenie cieszy, i gdybym się był o tem wprzódy dowiedział, to byłbym mój wyjazd odłożył do jutra.“

„Wysiądźmy z okrętu“ rzekł na to zaniepokojony Tomek — „jeszcze mamy dosyć czasu, a mnie dręczy przeczucie jakiegoś nieszczęścia. Nie potrzeba i pięciu minut, a dostaniemy się na brzeg wraz ze wszystkimi pakunkami.“

„To niepodobna, Tomku! Amerykanie podejrzywaliby nas o brak odwagi i drwiliby z nas“ odpowiedział kapitan. „Jeżeli zresztą obawiasz się, to możesz wysiąść, a jutro przyjedziesz za mną na innym statku.

„Jakto? miałżebym pana opuścić!“ zawołał Tomek stanowczo. „Jeśli obawiam się niebez-

pieczeństwa, to z pewnością nie dla siebie, jeno dla pana.“

„W takim razie możesz być całkiem spokojny“ rzekł kapitan. „Narażałem ja się już na większe niebezpieczeństwa niż na to, z jakiem dzisiejsze wyścigi okrętów są połączone.“

Tomek nie śmiał już czynić żadnych dalszych przedstawień, a zresztą było to wszystko zapóźno, pokład zapełnił się już bowiem podróżnymi, do koła leżało pełno skrzyń, kufrów i zawiniątek, a wkrótce donośny głos okrętowego dzwonka dał znak do odjazdu. Potężne koła parowej maszyny pruły żółte, spienione fale Mississippi, z komina buchały kłęby czarnego dymu, a Amazonka posuwała się pod wodę zrazu powoli, a potem coraz szybciej. Głośne okrzyki widzów, stojących na grobli, żegnały odjeżdżających.

Tymczasem rozeszła się między podróżnymi wieść na pokładzie „Amazonki,“ że mają się odbyć wyścigi z „Krokodylem,“ co wywołało nie mały rozruch między pasażerami i lekkomyślni nie taili swej radości z tego powodu, starsi jednakże i rozważniejsi wcale tego zdania nie podzielali, owszem zebrali się nawet na

krótką naradę poczem udali się do kapitana Amazonki celem powstrzymania go od tego szalonego zamiaru.

„Niechże i tak będzie“ zawołał wreszcie kapitan niezadowolony — „skoro panowie sobie tego życzycie, zaniecham wyścigów, choć przez to narażam się na znaczne straty. Aczkolwiek bowiem jestem najmocniej przekonany, że Amazonka niepotrzebuje lękać się Krokodyla, pozbawiam się na życzenie panów wielce pożądanej sposobności stwierdzenia, że mój okręt jest najlepszym ze wszystkich krążących po wodach Mississippi. Stosując się do woli panów pocieszam się przynajmniej nadzieją, że wkrótce zapewne znowu nadarzy mi się podobna sposobność.“

Tomek, który stał niedaleko kapitana, z radością dowiedział się o jego postanowieniu i pobiegł natychmiast donieść o tem swemu panu.

„Zobaczymy“ odrzekł na to obojętnie kapitan Brenner. „Nie pierwszy raz żegluję po Mississippi.“

Niebawem zniknęło słońce z widnokręgu. Czerwona tarcza skryła się po za ciemne z dala czerniejące lasy cyprysowe i wkrótce noc zapadła.

Tomek, stojąc na pokładzie, podziwiał zachód słońca, lecz nagle ocknął się z zadumy spostrzegłszy tłumy pasażerów, tłoczących się na pokład z krzykiem i hałasem.

„Na Boga! patrzcie Krokodyl się zbliża!“... wołano zewsząd. Na ten krzyk wyszedł również kapitan Amazonki zły i niezdecydowany co począć.

„No kapitanie“ odezwał się ktoś gromkim głosem — „jeżeli Amazonka będzie się dalej tak wlokła jak dotychczas, to od jutra ani pies na niej płynąć nie zechce!“

„Oczywiście!“ dorzucił drugi. „Dobrze pan mówisz, ja przynajmniej na przyszłość tylko na Krokodylu podróżować będę.“

„Wyborny to okręt, ten Krokodyl!“

„Widocznie nie żałuje paliwa!“

Te i tym podobne zewsząd dolatywały uwagi.

„Uspokójcie się panowie!“ rzekł na to kapitan. „Musiałem przyrzec kilku powszechnie szanowanym mężom, że zaniecham wyścigów, mimo to nie obawiajcie się, ażebyśmy daleko pozostali za Krokodylem.“

„Tchórz!“ zawołało kilka głosów.

Kapitan usłyszawszy to, zbladł jak chusta, zagryzł wargi, a zacisnąwszy pięście rzucał do koła wściekłym od gniewu wzrokiem.

Tymczasem Krokodyl zbliżał się coraz bardziej, a w miarę tego wzrastał też niepokój między pasażerami. Dotychczas płynął Krokodyl w ślad za Amazonką, lecz teraz zboczył już nieco dzióbem i wyraźnie przygotowywał się żeby wyminąć Amazonkę. Z pokładu można było dokładnie widzieć co się dzieje na Krokodylu. Oficerowie i majtkowie pracowali zawzięcie, dwóch ludzi pilnowało steru, palacze także nie próżnowali, to też z czeluści pieca buchał ogień tak, iż się zdawało, jakoby cały okręt stał w płomieniach.

Krokodyl zbliżał się ustawicznie, już zrównał się jego dziób z Amazonką, już dosięgnął połowy, już płynął z nią w równej mierze... Nastała chwila ciszy — wreszcie Krokodyl wyprzedził Amazonkę. W oka mgnieniu podniósł się z jego pokładu okrzyk tryumfu, wśród czego zawołał ktoś drwiącym głosem.

„Rzućcie linę, pociągniemy was za sobą!“

„A jak daleko za nami pozostanie wasz stary grat“ odezwał się drugi, podczas gdy znów ktoś

inny krzyknął na całe gardło:

„Górą Krokodyl! Hańba Amazonce, odwiecznej arce Noego!“

Takie drwinki wywołały najwyższe oburzenie i gniew między pasażerami Amazonki, a nawet najpoważniejsi ludzie, którzy przed chwilą wymogli na kapitanie przyrzeczenie, że zaniecha wyścigów, podzielali teraz jednogłośnie zdanie, że Amazonka nie może ustąpić Krokodylowi; owszem parli na kapitana, ażeby na to nie zezwalał.

„Ależ panowie! samiście mi wprzódy ręce związali“ odrzekł kapitan. „Niechże więc i tak będzie, jeszcze nie jest zapóźno, Amazonka pokaże co umie. Hola! palacze, dalej do roboty, nie żałować drzewa! Musimy pobić Krokodyla!“

„Hurra! Hurra!“ krzyknęli rozgorączkowani pasażerowie z całego gardła. Tylko kapitan Brenner i Tomek nie wtórowali tym dzikim wrzaskom.

„Igraszka ta zaczyna być niebezpieczną“ odezwał się kapitan do swego służącego. „Pójdź za mną, trzeba pomyśleć co wypadnie uczynić w razie jakiego nieszczęścia“.

Obydwaj udali się ku tylnej części okrętu, a kapitan wychylił głowę poza baryerę pomostu.

„Wszystko w porządku“ rzekł do Tomka. „Patrz oto tu przyczepione jest małe czółno, przygotujmy się, aby je w każdej chwili na wodę spuścić można“.

Za chwilę wszystko było gotowe, to też obydwaj mogli już teraz z większym spokojem przyglądać się niebezpiecznym wyścigom.

Palacze spełniali widocznie rozkaz bardzo sumiennie, bo wnet i na Amazonce piec parowej maszyny zionął piekielnym ogniem, a okręt pomykał coraz szybciej. Ustawicznie dorzucano suchych drew na ognisko; żelazne ściany pieca rozgrzały się do czerwoności, para wydobywała się z coraz gwałtowniejszym sykiem, a szuflaste koła obracały się z nieopisaną szybkością, roztrącając spienione bałwany. Z pokładu Amazonki zagrzmiało ponowne „hurra!“ a potem nastała chwila wyczekującego milczenia. Zaledwie kiedyniekiedy wyrywał się radośny okrzyk, wywołany ustawicznie wzmagającą się szybkością Amazonki, zresztą wszyscy w największem naprężeniu mierzyli wzrokiem przestrzeń, dzielącą Amazonkę od Krokodyla. Tymczasem zapadła ciemna noc tak, że tylko z trudnością brzeg dojrzeć można było. Mimo to współzawodniczące

okręty, nie potrzebowały zaświecać lamp sygnałowych, gdyż z okien wszystkich kajut biło rzęsiste światło, a płomienie z pieców oświecały czerwoną łuną spienione fale rzeki.

Z razu wysunął się Krokodyl naprzód o jakie dziesięć minut drogi. Gdyby to nie były wyścigi, to oddalenie takie nie wieleby znaczyło; teraz jednak nie można było sobie i tego lekceważyć, bo każdy z przeciwników wysilał się ile możności, by tylko sprostać drugiemu. Po kwadransie upewniał dowódca Amazonki swoich podróżnych, że zbliżył się do Krokodyla o kilkaset kroków, a wiadomość tę przyjęto grzmiącymi okrzykami. Jeszcze nie upłynęła godzina, kiedy dziób Amazonki docierał już do Krokodyla. Już słychać było łoskot jego maszyny, świszczenie pomp, uderzanie kół i przeraźliwy krzyk pasażerów, którzy przed chwilą zwycięzcy, mieli być teraz pokonani.

Amazonka wysuwała się coraz bardziej, już minęła tylną część Krokodyla, już równa się z nim, już przemyka się dziób koło dzióba, jeszcze jeszcze jedno oka mgnienie i Amazonka minęła swego przeciwnika. Kapitan dumnie powiewał kapeluszem, na pokładzie zagrzmiał naraz ze

stu gardzieli okrzyk tryumfu wstrząsający powietrze i zwiastujący zwycięstwo świetne, ale okupione niewypowiedzianym wysiłkiem. Lecz nagle, zanim jeszcze przebrzmiały okrzyki rozległ się straszny huk, jak gdyby prochownia w powietrze wyleciała. Belki trzeszczały i rozpadały się na wszystkie strony, zdawało się że ziemia się rozstąpiła, dym i para napełniały powietrze, zewsząd dolatywał krzyk trwogi, a potem straszna zaległa cisza. Zanadto rozpalony kocioł parowy na Amazonce pękł w tysiączne kawałki, przy czem znaczniejsza część podróżnych zginęła; jedni znaleźli śmierć w płomieniach, drudzy opatrzeni strumieniami wrzącej wody, inni wreszcie wyrzuceni w powietrze.

Osłupienie pasażerów, pozostałych jeszcze przy życiu, wywołane tym strasznym wypadkiem, trwało zaledwie jednę sekundę.

„Ratuj się, kto może!“ krzyczano zewsząd i tłoczono się ku tylnej części okrętu, ażeby się ocalić przy pomocy zawieszonego tamże czółna.

Kapitan Brenner, który przewidywał katastrofę, wyszedł wraz z Tomkiem cało z tego nieszczęścia i właśnie usiłowali obaj spuścić czółno na wodę. Lecz w tej samej chwili, kiedy już

tego dokonali, a kapitan Brenner zamierzał skoczyć do czółna, ugodził go ktoś tak silnie drągiem po głowie, że upadł bez zmysłów na pomost.

„Ha! złoczyńco, zapłacisz mi ty za to!“ wrzasnął Tomek i tak zapalczywie rzucił się na napastnika, że tenże straciwszy równowagę wskutek niespodziewanego natarcia, spadł przez niską baryerę do wody. Wśród tego wymknął mu się sześciostrzałowy rewolwer, za który natychmiast porwał Tomek i schował go do kieszeni. Całe zajście nie trwało dłużej nad piętnaście sekund, ale i to już wystarczyło, że tymczasem nadbiegło kilku ludzi, którzy zręcznie powskakiwali do czółna. Już przecięli linę, na której czółno było do okrętu przywiązane i zamierzali odpłynąć, kiedy Tomek zawołał na nich z góry:

„Stójcie!“ — i równocześnie wymierzył ku nim zdobyty rewolwer. „Stójcie, albo poszlę wam sześć kul, które jeśli was nie pozabijają, to przynajmniej podziurawią łódź, tak, że marnie potoniecie!“

„Czego chcesz od nas, nędzniku!“ odezwał się na to głos z czółna.

„Żebyście wzięli ze sobą mojego pana, który

tu leży bez zmysłów na pokładzie“ — odparł Tomek. „Ja tu zostanę, ale mego pana musicie uratować! Prędko do mnie! nie ma chwili do stracenia!“

Ludzie, którzy opanowali łódkę, licząc się z groźną postawą odważnego chłopca, nie śmieli się dłużej ociągać.

„Dawaj że go tu prędko!“ zawołał jeden z nich.

Tomek podniósł kapitana i ostrożnie spuszczał go z pokładu, podczas kiedy tamci chwycili go na ręce i czemprędzej odpłynęli od okrętu, któremu podwójne groziło niebezpieczeństwo, gdyż mógł lada chwila spłonąć do szczętu lub zatonąć.

„Dzięki Bogu!“ — odetchnął Tomek. „A teraz skoro już mój pan uratowany, trzeba o sobie pomyśleć!“

Po znacznie uszkodzonym pomoście biegało jeszcze bez przytomności kilku podróżnych, którzy prawdopodobnie nie umieli pływać, bo rozpaczliwie wołali o pomoc. Na to zatrzymał się Krokodyl w biegu, lecz nie odważył się zbliżyć do płonącej Amazonki, gdyż byłoby to z wielkiem połączone niebezpieczeństwem. Kapitan

jednakże kazał natychmiast wysłać kilka łodzi na ratunek. Tomek widział to wszystko przy łunie szerzącego się gwałtownie pożaru.

„Czy czekać na ratunek, czy zaufać własnym siłom?“ pytał sam siebie.

Po krótkiem namyśle zdecydował się na pierwsze. Pływał on wybornie, do brzegu mógł się dostać najdalej za dziesięć minut, a nieraz zdarzało mu się, że dłużej, niż pół godziny pływał bez znużenia. Czemprędzej więc rozebrał się zostawiając na sobie tylko koszulę i lekkie spodnie, które mu nie mogły przeszkadzać przy pływaniu. Jeszcze raz spojrzał na łodzie, wysłane ku Amazonce — ale były one jeszcze dość daleko.

„Zanim nadpłyną, ja będę już na brzegu“ — pomyślał Tomek, rzucił się odważnie do wody i popłynął w ukośnym kierunku.

Robiąc silnie rękami płynął szybko, a łuna, bijąca z Amazonki oświecała mu drogę. W tem pożar nagle przygasł ze sykiem i dokoła zrobiło się ciemno, że oko wykól.

Lecz i teraz jeszcze Tomek nie myślał o sobie, jeno o nieszczęśliwych podróżnych, którzy pozostali na tonącym okręcie.

„Biada im!“ pomyślał. „Okręt zatonął, a

który z nich nie umie pływać, dlatego nie masz ratunku!“

Ale i jego położenie było teraz wcale nie do pozazdroszczenia, a nawet groźne. Wśród ciemności nie widział już brzegu, a na niebie nie było ani jednej gwiazdki, wedle której mógłby się kierować. Mimo to nie stracił odwagi ani na chwilę.

Dobrej myśli płynął dalej, a kiedy czuł chwilowe zmęczenie, kładł się na wznak i dał się unosić prądowi, dopokąd należycie nie odpoczął.

Lecz w końcu wydała mu się ta droga nieco za długa. Musiało już upłynąć dobre pół godziny od chwili, jak rzucił się do wody, a przecież nie dojrzał jeszcze brzegu, mimo że wzrok wytężał.

Teraz dopiero opanowała go trwoga, która mu krew ścięła w żyłach. Szczęściem ujrzał po chwili światełko, prawdopodobnie w oknie jakiejś samotnie pod lasem stojącej chatki. To dodało mu otuchy, zebrał ostatnie siły i po kilku minutach poczuł grunt pod nogami. Teraz już nie trudno było wydobyć się na brzeg. Idąc za światełkiem, dotarł szczęśliwie do chaty. Tu zaszczekał pies, a wnet potem odezwał się głos

z wewnątrz: „Kto tam?“

Po chwili znalazł się już Tomek pod gościnnym dachem leśnika, który chętnie przyjął biednego rozbitka, częstując czem chata bogata.

W ten sposób uszedł Tomek niebezpieczeństwa, a nadto znalazł wygodne schronienie i gościnnego gospodarza. Widocznie opatrzność czuwała nad dzielnym chłopcem, to też nie omieszkał natychmiast złożyć Bogu najgorętszej podzięki za swe, prawie cudowne ocalenie.

V.

Spisek

Nazajutrz pożegnał Tomek uprzejmego gospodarza i ruszył w drogę, ażeby odszukać swego pana. Opodal gdzie zatonęła Amazonka, zebrała się gromadka ciekawych, którzy rozprawiali o smutnym wypadku z ubiegłej nocy. Tomek wypytywał wszystkich, ażali im co nie wiadomo o kapitanie Brennerze, lecz nie mógł się niczego dowiedzieć, aż wreszcie jakiś stary wieśniak powiedział mu, że spotkał kapitana na drodze do jego posiadłości Shenondah. Tomek

dowiedziawszy się, że do wzmiankowanej osady można się dostać najdalej za dwie godziny, wybrał się tam bezwłocznie, gdyż o ocaleniu pakunków kapitana i mowy nie było; tem bardziej że nie przedstawiały one takiej wartości, aby się opłaciło zarządzić poszukiwania.

Idąc szybkim krokiem w wskazanym kierunku, dostał się jeszcze przed upływem dwóch godzin do rozległych plantacji tytoniu i bawełny, które, jak się dowiedział od murzynów w polu pracujących, były rzeczywiście posiadłością kapitana Brennera. W niewielkiem oddaleniu wskazano mu piękną willę, tam więc pospieszył, ażeby się naocznie przekonać, że jego pan szczęśliwie uszedł niebezpieczeństwa. Kapitan siedział właśnie przy śniadaniu, lecz zerwał się natychmiast z krzesła, skoro ujrzał Tomka i wyciągnął ku niemu rękę.

„Niechże cię uściskam, kochany Tomku!“ zawołał uradowany. „Nie mogąc ci się dziś rano doczekać, obawiałem się już, czyś może wśród tego strasznego zamętu, nie zginął wraz z innymi. Opowiedz-że mi jak zdołałeś się uratować?“

Tomek opowiedział w kilku słowach swe przygody.

„Dzielnieś mi się spisał! Wszystko się lepiej skończyło, niż przypuszczałem“ rzekł kapitan. „Jakże ci mam podziękować, mój kochany, szlachetny chłopcze! Gdyby nie twoja odwaga i poświęcenie, byłbym niezawodnie znalazł śmierć na Amazonce. Ludzie, którzy mię za twojem wdaniem się wzięli na łódź, wszystko mi opowiedzieli“.

„To co zrobiłem, było tylko moją powinnością“ odrzekł Tomek. „Wszak nie mogłem pana pozostawić bez zmysłów na pokładzie gorejącego i równocześnie tonącego okrętu.“

„Kto inny“ — zauważał na to kapitan, „byłby niezawodnie sam pierwszy skoczył do łodzi nie troszcząc się o drugich.“

„Tylko podły człowiek mógłby tak postąpić“ odpowiedział Tomek. „Ja zresztą, umiejąc wybornie pływać, nie narażałem cię przez to na niebezpieczeństwo. Lecz dajmy temu spokój, bo w końcu, mógłbyś pan jeszcze wmówić we mnie, że dokonałem wielkiego czynu, podczas kiedy ja wcale inaczej na to się zapatruję.“

„Niechże i tak będzie! Teraz siadaj ze mną do śniadania, bo musisz być porządnie głodny“ mówił dalej kapitan.

„Bardzo dziękuję panu kapitanowi; ale moje miejsce jest w kuchni, lub w przedpokoju!“

„Twoje miejsce jest tam, gdzie ja ci je wskażę, siadaj więc tu i posil się! Tymczasem każę ci przygotować suknie.“

Kapitan zadzwonił, a na to wszedł młody wysmukły murzyn, któremu tenże wydał stosowne zlecenia. Tomek zaś musiał rad nierad usiąść obok kapitana i spożywał smaczne śniadanie.

„Teraz idź się przebrać!“ odezwał się po chwili kapitan, widząc, że Tomek już się posilił. — „Za chwilę pojedziesz ze mną na przechadzkę, obejrzymy plantacje.“

Za drzwiami czekał już na Tomka murzynek, który go zaprowadził do garderoby i dał do wyboru rozmaite suknie. Tomek wybrał sobie ładne lekkie ubranie marynarskie i słomiany kapelusz z szerokiemi kresami, a przebrawszy się, poszedł do kapitana.

„Dobrze!“ rzekł kapitan, przyglądając się chłopcu. „Nie zapomniałeś, jak widzę, że wkrótce mamy się udać na morze. Teraz pójdź ze mną! Przecież umiesz jeździć konno, nieprawda?“

„Jeżdżę nie bardzo uczenie, ale nieraz, kiedy

jeszcze byłem w Niemczech, uganiałem po pastwiskach na najdzikszych koniach naszego dziedzica, spodziewam się więc, że i teraz jakoś to pójdzie.“

„Spróbujemy!“ dorzucił kapitan.

Próba wypadła zadowalniająco. Tomek, idąc za wskazówkami kapitana, nieźle się trzymał na koniu, obydwaj zatem pojechali najprzód ku szopie, w której znajdowała się wielka ilość tytoniu i bawełny. Tu powitał ich bardzo uniżenie dozorca magazynów.

„Jakże tam z tegorocznym zbiorem?“ zapytał kapitan. „Czy opłaci się ładować okręt i popłynąć do Nowego Yorku?“

„Niech tylko pan spojrzy“ odrzekł dozorca. „Szopy napchane worami bawełny i tytoniu aż po sam dach. Jak długo tu służą, nie mieliśmy jeszcze tak obfitego zbioru. Zapasy te między braćmi warte sto tysięcy dolarów, a może i więcej.“

„To pięknie!“ odrzekł kapitan, w takim razie weźmiemy się lada dzień do ładowania. Mój okręt zapewne gotów do podróży?“

„Najzupełniej!

„A ty, Burke, przyjmiesz znów zajęcie sternika, jak ostatnim razem, nieprawda?“

„Najchętniej, skoro pan tylko rozkażesz, ale skądże weźmiemmy majtków?“

„Jutro lub pojutrze przybędzie tu z Nowego Orleanu ośmiu ludzi, których tam nająłem; wszyscy dobrze poleceni i jak się zdaje tędzy marynarze.“

„Jeżeli tak, to będziemy mogli już na przyszły tydzień podnieść kotwicę.“

„Prawdopodobnie! Czy nie masz mi z resztą nic ważnego do udzielenia?“

„Bynajmniej! W czasie pańskiej nieobecności nie zaszło nic szczególniejszego. Czy pan kapitan mówił już z rządcą, panem Brownem?“

„Gdzież tam; on nie wie nawet że przyjechałem. Gdzież go teraz zastanę?“

„Zapewne przy kukurudzy, gdyż tam pracuje dziś większa część niewolników.“

„Więc go tam poszukamy. A teraz jeszcze jedno, patrz Burke, ten młody chłopak jest moim służącym i posiada moje nieograniczone zaufanie. Jeżelibym kiedy za jego pośrednictwem przesłał jakie zlecenia, należy mu wierzyć bezwarunkowo.“

„Bardzo dobrze! Spodziewam się, że wkrótce

będziemy ze sobą na dobrej stopie.“

„Tem lepiej! A teraz dalej do Browna!“

Konie ruszyły cwałem i wkrótce dosięgły obszernego łanu, obsadzonego kukurudzą, na którym pracowało około czterdziestu robotników. Dozorował ich mężczyzna w średnim wieku z łagodnym i ujmującym wyrazem twarzy, lecz silnie zbudowany. Skoro ujrzał kapitana, krzyknął z radości i poskoczył ku niemu.

„A to prawdziwa niespodzianka, panie kapitanie!“ mówił rządca. „Nie spodziewaliśmy się tak rychłego powrotu.“

Kapitan powitał go równie uprzejmie, potem przedstawił mu Tomka i wypytywał o rozmaite szczegóły.

„O, w czasie pańskiej niebytności,“ mówił dalej Brown — „poszło wszystko wybornie. Nie było dzięki Bogu żadnego nieszczęśliwego wypadku, a żniwo obfite, jak rzadko. Murzyni sprawują się doskonale, czasami tylko pozwalają sobie drobnych dziecinnych wybryków, ale cięższych wykroczeń nie zauważałem wcale. Wszystko to jest skutkiem łagodnego obejścia, jakie mi pan zaleciłeś. Zrazu wątpiłem, ażali murzyni dadzą się łagodnością pokierować, lecz teraz wi-

dzę, że wszystko idzie lepiej niż przy największej surowości.“

„Cieszy mnie niewymownie, że coś podobnego słyszę z ust pana“ odrzekł kapitan. „Nie podobna obejść się nam bez murzynów, w klimacie, w którym biały nie jest w stanie pracować, dla tego też jest naszym obowiązkiem postępować z nimi łagodnie i po przyjacielsku. Zaprzestań pan dziś robotę o dwie godziny wcześniej niż zwykle i spraw murzynom małe poczesne; niech wiedzą, że ich pan przyjechał. Czy rozumiesz mię, panie Brown?“

„Najzupełniej!“ odrzekł rządca z uśmiechem. — „A zdaje mi się, że i murzyni pana zrozumieli, wystarczy popatrzeć na ich uradowane miny“.

„Hurra! Niech żyje nasz dobry pan!“ zaczęli krzyczeć murzyni i skakali z radości jak opętani. Kapitan uśmiechnął się do nich uprzejmie, ale wnet skręcił konia i cwałem ruszył do domu. Radośne okrzyki murzynów długo mu jeszcze towarzyszyły.

Nazajutrz wieczorem przybyli oczekiwani majtkowie z Nowego Orleanu, przystąpiono zatem natychmiast do ładowania okrętu. Dzięki niestrudzonej pracy, już z początkiem następnego

tygodnia wyruszył piękny i duży okręt żaglowy kapitana Brennera „Tetis“. W Nowym Orleanie zatrzymano się zaledwie tyle, ile było potrzeba do załatwienia zwykłych formalności.

Tej krótkiej chwili użył Tomek na odwiedzenie matki i starej Katarzyny. Obydwie zastał w dobrem zdrowiu: matce wzrok tak się poprawił, że nigdy przedtem w życiu lepiej nie widziała, a Katarzyna, chociaż wsparta jeszcze na kiju, kręciła się już po izbie. Z tym większym spokojem mógł więc Tomek puścić się w dalszą drogę.

Wreszcie, skoro już załatwiono rzeczone formalności, wypłynęła Tetis pełnemi żaglami na Ocean. Kapitan Brenner skierował okręt do Nowego Yorku, gdzie spodziewał się, jeżeli nie cały, to przynajmniej część swego ładunku dobrze spieniężyć.

Po niedługiej, a szczęśliwej podróży zawinęła Tetis do portu tego potężnego miasta handlowego. Kapitan zamierzył udać się natychmiast na ląd i wziął ze sobą Tomka, ażeby mu dać sposobność do rozpatrzenia się po mieście. Także sternik Burke wyprosił sobie urlop do wieczora. Skoro wysiedli z łodzi, każdy ruszył w

swoję stronę, kapitan oglądał się za kupcami, Burke przepadł gdzieś w jednym z najbliższych zaułków, a Tomek przechadzał się po najwspanialszej ulicy Nowego Yorku tak zwanej Broadway, podziwiając to zgiełkliwy ruch, to przepyszne budowle. Wieczorem wrócił do portu, a że był głodny i spragniony, wstąpił do gospody.

Posiliwszy się zaczął przyglądać się dość licznemu towarzystwu, przeważnie majtków, którzy bawili się bardzo wesoło. Także sternik Tetydy, Burke znajdował się między nimi i pilnie przysłuchiwał się rozmowie.

„Wierzcie, albo nie wierzcie“, mówił właśnie do zgromadzenia jakiś stary, ogorzały marynarz, „ale widziałem na własne oczy!“

„Cóżeście to widzieli Jakóbie?“ zagadnął drugi.

„Złoto, szczere świecące złoto w listeczkach i ziarnkach, jak je w Kalifornii z piasku wypłukują“ odrzekł Jakób.

„Brednie! zawołał ktoś ze zgromadzonych. „Byłem już z dziesięć razy w Kalifornii, a o niczem podobnem nie słyszałem. Chyba Jakóbie macie nas za głupców!“

Stary marynarz uderzył gniewnie pięścią

w stół, że aż wszystkie flaszki i szklanki zadźwięczały.

„Ale widziałem, kiedy wam powiadam. Całe kupy złota! Właśnie tego roku odkrył pewien osadnik niemiecki, nazwiskiem Sutter, jeśli dobrze pamiętam, kopiąc koryto młynówki, że dokoła w ziemi znajduje się mnóstwo złota. Rzecz tę zaczęto dalej badać i znaleziono na wielu miejscach w Kalifornii w piasku rzecznym i w ziemi czyste złoto! Wieść o tem szybko się rozeszła i dziś spieszą już zewsząd tysiące awanturników do tego kraju, w którym wystarczy tylko się schylić, ażeby za kilka tygodni zostać bogaczem“.

„A czemuż to wy Jakóbie nie schyliliście się, skoroście tam byli?“ zawołał ktoś drwiącym głosem.

„Bo nie chciałem jak pierwszy lepszy hultaj, opuścić mego kapitana“ odpowiedział Jakób stanowczo. „Kto bowiem zobowiązań swych nie dotrzymuje, nie jest niczem innem jak tylko pospolitym urwiszem, a ja, odkąd mię ziemia nosi, nigdy nim nie byłem. Ale teraz skończyła się moja służba, pieniądze na podróż mam w

kieszeni, a zatem hurra! jutro w drogę do Kalifornii!“

„Hurra! hurra! My z tobą Jakóbie!“ wołano zewsząd i powstał okropny zgiełk, z którego Tomek nie wiele mógł wyrozumieć. Wreszcie umysły się nieco uspokoiły a wówczas wystąpił jakiś poważnie wyglądający marynarz i odezwał się w te słowa:

„Dość już tych krzyków! ja radbym przecież w końcu usłyszeć co na tem jest prawdy. Powiedzcież Jakóbie, ale spokojnie i bez żartów, czy w Kalifornii jest w istocie tyle złota?“

„Wierzcie mi Marcinie“ odparł Jakób. „Bawiąc w San-Francisco, pierwszorzędnem mieście portowem w Kalifornii, napatrzyłem się i nasłuchałem rzeczy trudnych do uwierzenia. Wielu poszukiwaczy złota uzbierało sobie za kilka tygodni spory majątek. Wszyscy opowiadali zgodnie, że pokłady złota nie prędko się tam wyczerpią, a jeden dzień nie mija bez wiadomości o nowych odkryciach. Na własne oczy widziałem człowieka, który w przeciągu jednego dnia uzbierał złota w wartości przeszło dwóch tysięcy dolarów. Był to oczywiście szczęśliwy wypadek, jaki się nie często zdarza; zresztą jednak wszyscy

się na to zgadzają, że człowiek pilny może tam łatwo zarobić tysiąc dolarów na tydzień. Teraz wiecie szczerą prawdę i każdy niech robi jak mu się podoba; co do mnie powtarzam raz jeszcze, że jadę do Kalifornii".

„Ja także! Ja także!" odezwało się kilkanaście głosów.

„Gdyby tylko mieć pieniądze na drogę!" westchnął jakiś młody majtek.

W tejże chwili spojrzał Tomek przypadkiem na sternika Tetydy i niezmiernie przeraził się jego wyglądem. Twarz Burkego okryła się śmiertelną bladością, oczy iskrzyły się dzikim wyrazem, na czoło pot mu wystąpił. Nagle zerwał się i wybiegł z gospody jak opętany, nie spostrzegłszy nawet Tomka, który słyszał wyraźnie półgłosem przezeń wymówione słowa: „Dalej do Kalifornii, zanim inni tam przybędą! Przemocą go zmusimy, jeżeli nie zechce dobrowolnie!"

Tomek uderzony tem zajściem, zapłacił czemprędzej swą należytość w gospodzie i wybiegł za sternikiem, ale ten przepadł już gdzieś w tłumie. Zaniechał więc dalszych poszukiwań ale natomiast zaczął rozważać słowa, które dopiero

co był usłyszał z ust Burkego.

„Nie można się łudzić“—pomyślał. „Burke knuje niezawodnie jakąś zdradę. Żądza złota pędzi go do Kalifornii, a że nie ma pieniędzy na podróż zechce zapewne podburzyć załogę okrętu i zmusić kapitana, ażeby popłynął do San-Francisco. Tak, nie mylę się, odgaduję jego plany, ale co tu począć, ażeby je udaremnić? Najlepiej podobno, jeżeli wszystkie moje obawy i przypuszczenia odkryję kapitanowi, a on już będzie wiedział, jakich przeciwko temu użyć środków. Lecz gdzie go szukać?“

Wiedział Tomek, że szukać kapitana po mieście nie na wiele by się przydało, postanowił zatem oczekiwać go w porcie. Mijały godziny, wreszcie i zmrok już zapadł a o kapitanie ani słychu, trzeba więc było wsiąść na łódkę i powrócić na pokład Tetysy.

Na pokładzie nie było żywego ducha ani nawet zwykłej straży, słusznie więc Tomek przypuszczał, że Burke knuje już dalej swój spisek, tem bardziej, że z jednej kajuty dolatywały go słumione szepty.

Tam właśnie zgromadziła się cała załoga i z uwagą przysłuchiwała się słowom Burkego,

który bardzo wymownie i nie bez przesady powtarzał to, co usłyszał w gospodzie o niezmiernych skarbach Kalifornii. Tomek zbliżył się na palcach do drzwi i uważał na każde słowo.

„Tylko trochę dobrej woli“ dodał w końcu Burke, „a za kilka miesięcy możemy się stać bogaczami a potem żyć szczęśliwie i w dostkach!“

„Lecz jak się tam dostać?“ zauważał jeden z majtków. Kapitan najął nas w innym celu i nie zechce zapewne zwolnić nas od zobowiązań!“

„Oczywiście że nie zechce,“ odparł Burke, „ale można go zmusić do tego!“

„Nie na wiele by się to przydało,“ dodał drugi. „Do Kalifornii kawał drogi a skąd weźmiemy pieniędzy na podróż! Nie brak mi wprawdzie ochoty podążyć do tego kraju obiecanego, ale na ochocie trzeba będzie podobno poprzestać. Trudno na skrzydłach tam zalecić i żyć powietrzem. Tak mnie się przynajmniej ta rzecz przedstawia!“

„Mnie zaś zdaje się,“ odrzekł Burke półgłosem „że gdybyśmy tylko chcieli, moglibyśmy się na wcale pięknym okręcie dostać wprost do San-Francisco!“

„Mrzonki! Ciekawym kto by nam w tym

celu okręt powierzył. Żądza złota pomieszała ci w głowie“ odezwało się kilku majtków.

„Posłuchajcie tylko“ rzekł na to Burke, „a potem róbcie co wam się podoba.“

„Skoro tu spieniężymy w części nasz ładunek, kapitan zechce zapewne żeglować dalej na północ. Spokojnie wypłyniemy z portu, a skoro już będziemy w należytem oddaleniu od Nowego Yorku, tak, że nie trzeba się będzie niczego obawiać, przedstawimy mu nasze życzenie. Jeżeli zgodzi się, to owszem, w przeciwnym zaś razie zamkniemy go w jego kajucie. Wobec tego będzie musiał prawdopodobnie pozwolić na wszystko i tak popłyniemy do Kalifornii!“

„Podły zdrajca!“ szepnął Tomek mimo woli do siebie.

Szmer ten posłyszał Burke wśród grobowego milczenia, jakie nastało po jego przemowie, a choć słów nie zrozumiał, zerwał się natychmiast i chciał wybiedz na pokład, gdy w tejże chwili wszedł do kajuty Tomek z miną na pozór bardzo zadowoloną i powitał spokojnie majtków, którzy pomieszani spoglądali na niego.

„Cóż to znaczy? Czemu spoglądacie na mnie jak na jakie dziwo?“ rzekł śmiejąc się.

„Może nie chcecie mnie przypuścić do współudziału w waszem świetnem przedsięwzięciu?“

„W jakiem przedsięwzięciu?“ zapytał Burke zmarszczywszy czoło i mierząc groźnym wzrokiem Tomka.

„No, jużcić w wyprawie do Kalifornii“ odrzekł Tomek z uśmiechem. „Byłoby to szkaradnie z waszej strony, gdybyście mię chcieli wykluczyć, skoro wiecie, że jestem uboższy od was i w najwyższym stopniu zniechęcony do kapitana.“

„Skąd wiesz o naszych zamiarach“ pytał dalej Burke z gniewem i gotów lada chwila rzucić się na Tomka.

„Skąd wiem o tem? Rzecz bardzo prosta! Stoję już przeszło pół godziny pod drzwiami i wszystko słyszałem. Wasza to wina, żeście mię nie spostrzegli. A teraz pozwólcie sobie powiedzieć, żeście byli bardzo nieostrożni, bo gdyby na mojem miejscu kapitan był was podsłuchał, piękniebyście na tem wyszli!“

Burke i majtkowie spoglądali po sobie zakłopotani, gdyż wszyscy wiedzieli o tem, że Tomek był w łaskach u kapitana, a zatem niedowierzali mu. Sternik wyczytał z oczu maryna-

rzy co myślą o tej sprawie i otwarcie wypowiedział swe podejrzenie.

„Koledzy! chłopak ten może być dla nas niebezpieczny, ja przynajmniej nie dowierzam mu i byłbym zatem, żeby go sprzątnąć!“

Większa część majtków podzielała to zdanie. Tylko jeden ujął się za Tomkiem i rzekł:

„Ani się ważcie podnieść na niego rękę, bo inaczej nie chcę z wami mieć nic do czynienia!“

„Alboż tu mówi kto o zabójstwie?“ odparł Burke. „Wystarczy, jeśli go zamkniemy na tak długo, dopokąd nie wypłyniemy na otwarte morze.“

„Zgoda! zamknijmy go!“ zadecydowano jednogłośnie.

Tomek opierał się, prosił, błagał, — nic nie pomogło. Majtkowie zawlekli go na spód okrętu do izdebki gdzie był skład starych rupieci, zaopatrzyli w żywność i zamknęli. W godzinę później nadpłynął na łodzi kapitan w najlepszem usposobieniu, a sternik przyjął go na pokładzie ze zwykłą uniżonością.

„Nie zabawimy tu długo“ odezwał się do sternika. „Prędzej niż się spodziewałem, sprze-

dałem cały ładunek.“

„Tem lepiej, panie kapitanie“ odrzekł Burke z udanem zadowoleniem. Winszuję z całego serca! A cóż potem zrobimy?“

„Cóżby innego? Powrócimy do Nowego Orleanu“ odpowiedział kapitan. „Cieszy mię, że będę mógł spokojnie posiedzieć jakiś czas na wsi. Zanim okręt zostanie wyładowany, zamyślam jeszcze załatwić niektóre sprawunki, a potem do domu! Spodziewam się, że i tobie, Burke, będzie to na rękę!“

„O, mnie wszystko na rękę, co pan kapitan rozkażesz“ odrzekł sternik, „obawiam się jednak że majtkowie będą trochę szemrać, bo liczyli na dłuższą podróż.“

„Nic oni na tem nie stracą“ odrzekł kapitan. „Powiedz im, że w każdym razie wypłacę im cały żołd ośmiomiesięczny.“

Burke rozpływał się w udanych podziękowaniach.

„Dosyć tego!“ przerwał kapitan. „Czynię tylko to, co się słusznie należy. Gdzie jest Tomek? Przyszlij go do mojej kajuty!“

„Tomek?“ zapytał Burke, udając zdziwienie. „Czy nie przybył z panem kapitanem?“

„Nie.“

„To widocznie wałęsa się gdzieś po mieście, bo dotychczas nie powrócił jeszcze na okręt.“

„Lekkomyślne chłopczysko!“ mruknął kapitan. „Donieś mi skoro nadejdzie!“

Po tych słowach udał się do swej kajuty, ale tu daremnie wyczekiwał chłopca. Nie powracał dzień jeden i drugi, co kapitana wiele zaniepokoiło.

„Jeszcze się pojawi“ pocieszał Burke kapitana. — „To jeszcze młokos, a z młodością rozum nie zawsze w parze chodzi. Zdybał zapewne więcej takich, jak on lekkoduchów i hulają sobie!“

„Nie przypuszczam tego“ rzekł kapitan stanowczo. „Tomek nie jest ani lekkomyślny, ani zepsuty. Obawiam się raczej czy nie spotkało go jakie nieszczęście. Jestem w istocie niespokojny i każę w mieście zarządzić za nim poszukiwania.“

„Szukaj go sobie, ale nie prędko go znajdziesz“ pomyślał drwiąco Burke, widząc, że kapitan wybrał się w tym celu do portu.

Kilka dni upłynęło wśród bezustannej pracy. Tetis została nareszcie zupełnie wyładowana, a

natomiast wzięła na pokład móstwo przedmiotów na potrzeby plantacji.

Na jeden dzień przed odjazdem stał kapitan wieczorem na pokładzie a zmarszczywszy czoło patrzał stroskany ku miastu. Myślał w tej chwili o Tomku.

„Rzecz niepojęta!“ mówił sam do siebie. „Niezawodnie zaszło jakieś nieszczęście, gdyż Tomek zanadto był do mnie przywiązany, ażeby mię mógł dobrowolnie opuścić. A i ja go pokochałem! Udało mu się to, co nikomu innemu: ujął mię za serce i zmienił moje zapatrywanie na ludzi. I oto właśnie, kiedym zamierzył otworzyć przed nim moje serce i wynagrodzić go za wierność, przepadł bez śladu. Doprawdy, nie rozumiem tego. — Nie przynosisz żadnej wiadomości o Tomku“ zapytał Burkego, który właśnie powrócił z miasta.

„Żadnej, panie!“ odrzekł Burke, ścigając ramionami. „Widocznie sprzykrzyło mu się życie na okręcie i opuścił nas cichaczem. Koniec końcem musiał to być przecież niewdzięczny i lekkomyślny urwisz“.

„Nie sądzę tak o nim, gdyż doświadczałem go nieraz“ odpowiedział kapitan. „Bądź co bądź

jednak widzę, że na nic by się nie przydało stać tu jeszcze dłużej na kotwicy. Jutro rano przy sprzyjającym wietrze wypłyniemy; pamiętaj Burke być gotów ze wszystkiem".

„Do usług, panie kapitanie" rzekł sternik, a kapitan poszedł do swej kajuty, która mu się wydawała bardzo osamotnioną, odkąd Tomek przestał po niej gospodarować.

W tej chwili kochał on jeszcze Tomka. Lecz wkrótce, jakże go miał znienawidzić, jakże miał nim pogardzać!

Tetis wypłynęła już na otwarte morze, a sternikowi zdawało się, że nareszcie nadeszła stosowna chwila do przeprowadzenia swych haniebnych planów. „Kapitan" — mówił do swych towarzyszy — „ma w kajucie okrągłą sumkę sto tysięcy dolarów. Gdybyśmy się tem podzielili, to każdy miałby piękny kapitalik zakładowy". Oczy majtków zapalały żądzą — a mimo to nie śmieli spojrzeć po sobie.

„Cóż się jeszcze namyślacie?" ciągnął dalej sternik.

„Przecież to śliska sprawa", odezwał się Janek, jeden z majtków, „a przytem i niebezpieczna. Znacie dobrze kapitana, toż niepotrze-

buję wam przypominać, że jest to człowiek nie ustraszony i nieugięty. Wiecie również, że zawsze na noc zamyka się w swej kajucie; że ta kajuta obwieszona do koła pistoletami i rewolwerami. Zanim zdołamy drzwi wyłamać, wystrzela nas wszystkich do jednego".

„To prawda, przemocą nic nie uzyskamy, trzeba, użyć podstępu" zauważał Piotr, drugi majtek. „Gdyby tak zaczaić się na niego i jutro z nienacka, gdy będzie wychodził z kajuty uderzywszy w głowę powalić go na ziemię!"

„Nie można!" odezwał się Janek. „Kto obliczy następstwa takiego kroku. W ten sposób można by kapitana nietylko ogłuszyć ale i zabić, a ja przynajmniej nie chcę do tego ręki przykładać".

„I ja nie! I ja nie!" odezwało się kilka głosów, podczas kiedy Burke szyderczo usta wykrzywił i rzekł:

„Ha, jeżeli nie macie odwagi, to trzeba porzucić nasz plan i do śmierci zostać nędzarzami!"

„Lepiej być nędzarzem, niż mordercą!" odezwał się Janek stanowczo. „Mojem zdaniem najlepiej uczynimy, jeżeli jutro jeden z nas uda się do kapitana i odkryje mu nasz zamiar wy-

jazdu do Kalifornii. Jako człowiek rozumny, kapitan łatwo osądzi, że opierać się byłoby niedorzecznie i zastosuje się do naszego życzenia. O owych stu tysiącach dolarów teraz jeszcze nic wspominać nie będziemy, bo nie wątpię, że znajdzie się i później sposobność, aby je od niego wydobyć".

„Któż uda się do kapitana w tym celu?" pytał Burke. „Czy podejmujesz się tego Janie?"

„Ja? Nigdy! Przenigdy!" odparł majtek, „kapitan skoro ostro spojrzy na człowieka, to aż dreszcz przejmuje i ręczę, że żaden z nas tego poselstwa się nie podejmie".

Wszyscy zamilkli na te słowa.

„Cóż nam więc pozostaje?" mówił dalej Burke. „Jeżeli chcemy postawić na swojem, nie ma innej rady, jak tylko użyć przemocy!"

„Nie godzę się na to!" odparł Janek niechętnie. „Kapitan jest zacnym człowiekiem, zawsze obchodził się z nami bardzo dobrze, niejedno nawet wyświadczył nam dobrodziejstwo, a zatem, co najwięcej, przystanę na to, aby go zamknąć w kajucie".

„W takim razie nie ma o czem myśleć" rzekł zagniewany Burke. „Co nam to pomoże,

choć drzwi od jego kajuty od zewnątrz zamkniemy? Przez okienko we drzwiach wystrzela nas jak psy. Co innego, gdybyśmy broń mu odebrać mogli, możnaby jeszcze o tem pomówić".

„Przydał by nam się do tego Tomek" zauważał Piotr. „Chłopiec to zręczny jak małpa, a odważny jak lew. Gdyby tylko zechciał trzymać z nami, mógłby z łatwością wśliznąć się do kajuty przez okno i skrępować kapitanowi ręce i nogi, zanim ocknie się ze snu".

Burke nie dowierzał Tomkowi i zrazu sprzeciwiał się, aby chłopca z więzienia uwolnić, lecz uległ w końcu większości, a Jan poszedł natychmiast więźnia przyprowadzić. Za chwilę wrócili obydwaj.

„Wszystko składa się wybornie!" odezwał się Jan do swych towarzyszów. „Tomek jest gotów pójść do kajuty związać kapitana, ale pod tym warunkiem, że i jemu dostanie się cząstka z owych stu tysięcy dolarów".

„Czy tak jest w istocie!" zapytał Burke spoglądając z pod oka.

„Nie pojmuję doprawdy" odrzekł Tomek, „jak możecie powątpiewać o moich najlepszych chęciach. Czy mniemacie, że mi na tem tak wiele

zależy, ażeby przez całe życie być nędzarzem i służalcem? Jak wy, tak też i ja pragnę wolności i dobrobytu!“

Tomek mówił tak naiwnie i tak przekonywająco, że nikt już nie podejrzywał go o brak dobrej woli, owszem, nawet sam Burke mu uwierzył.

„A więc dalej chłopcze!“ zawołał. „Ale pamiętaj, że gdybyś chciał zdradzić... Kula w łeb!... i kwita!“

„Naco te pogróżki?“ odrzekł Tomek. „Czyż macie mię już za takiego osła, żebym miał działać na własną szkodę. A nareszcie, chociażbym i chciał zdradzić, czybyście nam dwom nie podołali?... Ot, głupstwo!“

„Dobrze mówisz!“ rzekł Jan i poklepał go po ramieniu. „Burke doprawdy rozum stracił! Ale ty, chłopcze, wiesz przecie, gdzie kapitan schował swoje sto tysięcy dolarów!“

„Zdaje mi się, że przypuszczenie mię niemyli“ odpowiedział Tomek. „Lecz dosyć już tego gadania, a teraz dalej do roboty!“ Powiedziawszy to wziął do kieszeni dwa cieńkie postronki i spróbował otworzyć okno. Udało mu się to za pierwszem pociśnięciem, to też natychmiast wśli-

znął się przy pomocy majtków do kajuty.

W głębokiem milczeniu i z bijącem sercem nadsłuchiwali majtkowie każdego szelestu. Dobra chwila upłynęła na daremnem oczekiwaniu. Wreszcie usłyszano stłumiony krzyk i stękanie, a potem rozległ się głos piorunujący:

„Ha, podły zdrajco! Ty śmiesz rzucać się na twego pana! Ratunku! Ratunku!“

„Daj spokój kapitanie!“ — słychać było słowa Tomka — „nic ci to nie pomoże, cała załoga postanowiła zgodnie popłynąć do Kalifornii — a teraz nie możesz już nam przeszkodzić w tem przedsięwzięciu“.

„Hańba ci łajdaku, którego uratowałem od głodowej śmierci“, wołał kapitan głosem pełnym wzgardy. „Tak to się odwdzięczasz twemu dobroczyńcy, nędzniku!“

„Gadaj sobie zdrów, kapitanie“, odparł Tomek ze śmiechem. „Ja sobie z tego nic nie robię a tymczasem otworzę kajutę, ażeby moi towarzysze mogli stąd zabrać wszystką broń. Skoro to uskutecznią, natychmiast pana z więzów uwolnię. Nie potrzebujesz się wcale lękać o swe życie, jeżeli tylko spokojnie będziesz się zachowywał. Przedewszystkiem musimy pana rozbroić“.

To mówiąc otworzył drzwi, a majtkowie natychmiast pozabierali nawet noże stołowe, widelce i w ogóle wszystko, co tylko w danym razie za broń posłużyć mogło. Tomek znał wybornie każdy schowek, każdą szufladę, to też wskazywał majtkom, gdzie mają szukać. W końcu wskazał im jeszcze starannie w ścianie ukrytą szafeczkę, którejby się nawet sami niebyli nigdy domyślili i otworzył ją za pociśnięciem sprężyny. Majtkowie wydali nagle okrzyk radości i zdumienia, bo o to przed nimi leżało w złocie i srebrze przeszło sto tysięcy dolarów, które kapitan wziął za sprzedane produkta.

„Bezczelny zdrajca!“ wyjęknął skrępowany kapitan, podczas kiedy majtkowie nie mogli się uciszyć z radości.

„A co? Nie mówiłem wam, że Tomek nas nie zawiedzie“ krzyczał Jan ściskając chłopca. „Bez niego nie bylibyśmy nigdy znaleźli tego gniazda z złotemi i srebrnemi jajami“.

„Hurra Tomek!“ wrzeszczeli bez końca oszołomieni majtkowie i omal chłopca nie udusili w uściskach.

„Pieniądze byśmy już zatem mieli“ odezwał się Burke, skoro się nieco uciszyło „lecz co z

niemi teraz zrobić? Czy mamy je natychmiast podzielić między siebie?“

Co do tego były zdania podzielone, wreszcie jednak zgodzono się, ażeby całą nietkniętą sumę dać do przechowania sternikowi i najstarszemu z majtków, a rozdzielić ją dopiero za przybyciem do Kalifornii.

„Tak będzie w istocie najlepiej“ kończył Burke. „Gdybyśmy pieniądze zaraz teraz rozdzielili, to któż zaręczy, że jeden drugiego po drodze nieokradnie, a tak każdy dopiero za przybyciem do Kalifornii odbierze swoją część. Ja przechowam pieniądze w mojej kajucie i przyjmuję za nie odpowiedzialność, zobowiązując się, w razie gdyby choć jednego dolara brakło, ubytek ten nagrodzić z własnych funduszów“.

Niektórzy szemrali przeciwko takiemu postanowieniu, niebardzo jakoś ufając uczciwości Burkego, większa część jednak a najmocniej Tomek obstawali przy tem. Przeliczono więc sumę, z czego się pokazało, że było tam sto dwanaście tysięcy dolarów. Pieniądze doręczono sternikowi, a ten schował je w swojej kajucie.

„Teraz, sądzę, możnaby już kapitana uwolnić“ odezwał się Burke. „Skoro go zamkniemy

pod strażą w kajucie, ty, Tomku, będziesz mu posługiwał jak dawniej, złożyłeś bowiem dowody, że można ci zaufać. Ale zawsze strzeż się, żeby cię chętka nie zebrała dostarczyć kapitanowi broni, bo za najmniejszem podejrzeniem zadyndasz na najwyższym maszcie!“

„Próżne obawy!“ odparł Tomek. „Tak mnie jest drogie życie, jak i wam, zwłaszcza kiedy są pieniądze. Więc mam rozwiązać kapitana?“

„Tak jest“ rzekł Burke i wraz z innymi wyszedł z kajuty.

„Nie zbliżaj się do mnie łotrze, bo mi twa obecność powietrze zatruwa. Precz stąd!“ krzyknął kapitan gniewnie.

„Tylko nie tak porywczo!“ odezwał się Tomek drwiąco. „Jak możesz brać za złe ten krok biednemu chłopcu, któremu uśmiechnęła się sposobność zarobienia okrągłej sumki dwunastu do trzynastu tysięcy dolarów i rozpoczęcia w Kalifornii dobrego interesu. Doprawdy byłbym wierutnym głupcem, gdybym z tego nie korzystał. Ot tak, postronki już poprzecinane, teraz możesz pan swobodnie sobie spacerować, ale naturalnie tylko w obrębie kajuty, bo na pokładzie jesteś pan wcale nie pożądanym gościem“.

Kapitan powstał i rzucił się na Tomka — lecz w tejże chwili wstrzymał się w zapędzie.

„Nie, ten nędznik nie zasługuje nawet, żebym go dotknął moją ręką“, mruknął przez zęby.

„Masz racyą kapitanie“ odezwał się Tomek „bo wątpię, żeby ci to na dobre wyszło. Pomnij tylko, że na okręcie skończyło się już twoje panowanie i że teraz jedynie na mojej pozostajesz łasce. Spodziewam się, że się wnet ustatkujesz tymczasem zaś chcąc cię przekonać, że nie szukam odwetu, pójdę przygotować ci śniadanie“, i nie spojrzawszy nawet na kapitana wyszedł z kajuty, przed którą już stał na straży jeden z majtków z bronią na ramieniu.

„A toś staremu dojechał!“ odezwał się tenże do Tomka. „To mię tylko dziwi, że on się na ciebie nierzucił“.

„Niechby tylko spróbował!“ odrzekł Tomek. „Kląć i wykrzykiwać niebronię mu, ale za każde uderzenie... trzy dni postu!“

„A to kawałek urwisza“ odezwał się majtak, stojący na straży, do Burkego, wskazując za odchodzącym Tomkiem.

„To dobrze“ odparł sternik. „Musimy się mieć bardzo na baczności“.

Z Nowego-Yorku do Kalifornii podróż daleka. Dla kapitana była ona prawdziwą męczarnią, lecz pełną rozkoszy dla zbuntowanej załogi. Nie żałowano sobie ani wina, ani wódki, czego na okręcie wielka była obfitość, to też jeden dzień prawie nie upłynął bez tego, żeby się wszyscy dobrze nie popili.

Mimo to okręt szczęśliwem jakiemś zrządzeniem nie doznał żadnej szkody i bezpiecznie zbliżał się do upragnionego wybrzeża.

Kapitan Brenner nie troszczył się wcale o buntowników, a tem mniej o Tomka, którego ze wszystkich sił znienawidził. Pilnie strzeżony w kajucie przepędzał czas, o ile to było możebne, na czytaniu i pisaniu.

Pewnego dnia, Burke, który objął tymczasowo komendę na okręcie, sprawił swym towarzyszom wielką uciechę, oznajmiwszy im, że najdalej za trzy dni ujrzą wybrzeża Kalifornii.

Tak radośną wiadomość należało oczywiście oblać sowicie. Posłano więc natychmiast Tomka po rum na spód okrętu. Po dobrej chwili wrócił tenże z wielce zakłopotaną miną donosząc, że ani rumu, ani wódki niema już i kropelki.

Posypały się przekleństwa z ust zawiedzio-

nych majtków, a kilku poskoczyło naocznie się o tem przekonać. Niestety, Tomek powiedział prawdę, daremne były wszelkie poszukiwania. Pocieszano się przynajmniej tą myślą, że sobie ten zawód w Kalifornii należycie powetują.

Tymczasem okręt posuwał się coraz dalej, wiatr sprzyjał mu ustawicznie, to też istotnie pod wieczór trzeciego dnia, ukazała się na widnokręgu ciemna linia. Było to wybrzeże Kalifornijskie.

„Co za nieoszacowana szkoda, że nie mamy choćby kropelki rumu“ narzekał Burke, „aby wnieść toast na cześć kraju złota!“

„Ach, szkoda, wielka szkoda!“ westchnęło jeszcze kilku majtków i tak boleśnie głowami potrząsali, że Tomka litość zebrała.

„Chociaż to moi kochani, na nic się podobno nie przyda‘ odezwał się wreszcie „pójdę jeszcze raz wszystko przeszukać.

„Poczciwy chłopiec!“ odpowiedzieli majtkowie, „ale niestety nie warto się trudzić!“

Po dziesięciu może minutach, kiedy już wszyscy o Tomku zapomnieli, wpadł tenże nagle na pokład z głośnym okrzykiem.

„Hurra Towarzysze! Beczka koniaku, co

najmniej ośmdziesiąt kwart objętości jest jeszcze na dole, znalazłem ją pod starymi żaglami. A to sobie sprawimy wesołą wieczerzę! Pójdźcie! Pójdźcie mi pomóc wytoczyć beczkę, bo sam temu nie podołam".

„Czy być może? Koniak? Cała beczka? Et, zmyślasz!"

„Chodźcież się sami przekonać!"

Wszyscy majtkowie, a Burke na czele pobiegli na spód okrętu, skąd dał się wnet słyszeć szalony okrzyk radości. W krótce wytoczono beczkę na pokład, przekonawszy się, że jest w niej istotnie koniak i to przewyborny. Zaczęła się biesiada, której opis mógłby nas przejąć zgrozą i wstrętem, ostatecznym jej wynikiem było to, że jeszcze przed północą wszyscy majtkowie, niewyjmując nawet straży, popili się jak bydlęta i bez duszy leżeli na pokładzie.

Około tego czasu podniósł się ktoś z podłogi, a przekonawszy się, że wszyscy inni śpią jak zabici, pomknął najprzód do kajuty sternika, a stamtąd pobiegł na schodki, prowadzące do najgłębszego zakątka okrętu. Po dobrej chwili ukazał się znowu na pokładzie, stanął u steru i uważnie badał kierunek wiatru i bieg okrętu.

Tu pozostał przez całą noc.

Zaledwie błysnęły pierwsze promienie wschodzącego słońca, ukazało się wybrzeże Kalifornii w całej okazałości, a w niewielkiem oddaleniu mnóstwo przeróżnych statków.

Teraz dopiero zerwał się Burke i gromkim głosem zbudził swych towarzyszy spostrzegłszy z przerażeniem, że Tetis znajdowała się niedaleko jak na tysiąc kroków od innych statków.

„Hola! Wszyscy do żagli! Na Boga, nie traćmy czasu“ krzyknął Burke „bo dostaniemy się między okręty, co w naszem położeniu, może pociągnąć za sobą najgorsze następstwa!“

Przerażeni marynarze rzucili się na maszty, zwinęli czemprędzej żagle i spuścili wielką kotwicę, która na miejscu zatrzymała okręt kołyszący się na falach.

Natychmiast nadpłynęło kilkanaście łodzi ofiarując świeże owoce i żywność rozmaitego rodzaju. Burke nie zważając na to, pobiegł do swej kajuty, lecz wkrótce wypadł stamtąd blady jak ściana i drżący od gniewu.

„Jesteśmy zdradzeni!“ krzyknął, miotając się jak szalony. „Skradziono nam pieniądze!“

„Oho!“ odezwali się majtkowie. „Znamy

się na farbowanych lisach. Tyś wziął pieniądze do przechowania i ty za nie będziesz odpowiadał. Gadaj natychmiast coś z niemi zrobił!“

„Choćbyście ze mnie pasy darli nie znajdziecie w mojej kajucie ani grosza“ zaklinał się do wściekłości rozjątrzony Burke. „Kto z was ukradł pieniądze?“

Podczas gdy się to działo, a majtkowie w osłupieniu po sobie spoglądali, dał się słyszeć jakiś hałas. „Ahoy! Spuścić drabinkę! Przychodzę w imieniu prawa przejrzeć wasze papiery!“

Na te słowa ogarnął niewypowiedziany przestrach buntowników. Wiedzieli o tem, że skoro wysłany do nich urzędnik dostanie się na pokład, wszyscy skończą nędznie na szubienicy.

„Ratuj się kto może!“ krzyknął Burke i nie myśląc już o pieniądzach wskoczył do jednej z dokoła stojących łodzi. Inni poszli w jego ślady, powydzierali zdumionym rybakom wiosła i wiosłowali co sił starczyło, ażeby się jaknajprędzej zgubić wśród zgiełku, jaki panował w porcie. Udało im się to w istocie, przepadli bez śladu i nikt o nich więcej nie słyszał.

Prócz kapitana pozostał na pokładzie Tetydy tylko Tomek, który drwiąco spoglądał za

uciekającymi, a wreszcie, gdy urzędnik groźnym tonem powtórzył wezwanie, spuścił drabinkę z okrętu.

„Proszę tu!“ zawołał i wskazał urzędnikowi w milczeniu drzwi do kajuty kapitana, które właśnie otworzył. Po chwili wyszedł urzędnik wraz z kapitanem na pokład, a ten ostatni spojrzawszy z niewymownem zdziwieniem na Tomka, który go u drzwi uprzejmie powitał, krzyknął na niego:

„Ha! Ty jeszcze tu, łotrze!“

„Nie inaczej! Jestem tam, gdziem być powinien“ odparł Tomek spokojnie. „Pan kapitan gniewasz się na mnie, myśląc, że należę również do buntowników, którzy tam umykają. Posłuchaj pan chwilkę cierpliwie. Gdybym nie był udawał, że trzymam z buntownikami, byliby niezawodnie pana i mnie zamordowali. Tylko w ten sposób, należąc pozornie do spisku, mogłem wywiązać się z mego zadania i pana ocalić. Moje to dzieło, które dzięki Bogu, całkowicie się powiodło!“

„Pięknie się powiodło!“... odrzekł kapitan z gorzkim uśmiechem. „Trzeba więc było do mego ocalenia wydać buntownikom cały mój

majątek i obedrzeć mię ze wszystkiego?“

„Inaczej być nie mogło“ odpowiedział Tomek. Gdybym im nie był pokazał kryjówki, nie byliby mi nigdy zaufali, o co mi właśnie chodziło. Zresztą o pańskie pieniądze byłem całkiem spokojny!

„Jakto buntownicy nie zabrali ich ze sobą?“

„Oczywiście że nie! Wtenczas kiedy zdradziłem kryjówkę, miałem już cały plan ułożony.“

„Co ty mówisz?“

„Nie mogło to wszystko stać się wcześniej“ opowiadał dalej Tomek, „aż dopiero za zbliżeniem się do wybrzeża, inaczej byłoby wszystko przepadło! Przed kilku dniami zawiadomił nas Burke, że już niezadługo zawiniemy do portu. Teraz dopiero nadeszła stosowna chwila. Przedewszystkiem ukryłem starannie wszystek rum i koniak — jaki się jeszcze na okręcie znajdował. Majtkowie klęli na czem świat stoi, ale ja sobie nie wiele z tego robiłem. Dopiero kiedy się nam już ląd ukazał, udałem, że mi się jeszcze powiodło pod staremi rupieciami odszukać beczułkę koniaku. Wytoczono ją na pokład i do północy, jakto przewidywałem, popili się wszyscy do ostatka. Potem łatwo już było wynieść

pieniądze z kajuty Burkego i w pewnym umieścić je schowku. Przypuszczałem zresztą, że skoro już raz wpłyniemy do portu, nietrudno będzie zażądać pomocy i wtedy dopiero całą rzecz odkryć. Tymczasem stało się jeszcze lepiej. Skoro ten pan się pojawił, zapomnieli buntownicy o pieniądzach i uciekli czemprędzej ratując przynajmniej życie. Ja oczywiście pozostałem, bo musiałem się przecie wytłumaczyć i wskazać miejsce, gdzie się pieniądze znajdują."

Groźny wyraz twarzy kapitana rozjaśniał się w miarę opowiadania Tomka, a w końcu łzy radości zabłysły mu w oczach.

„Gdzież są te pieniądze?" pytał drżącym głosem.

Tomek zaprowadził go na miejsce, gdzie je ukrył i rzekł spokojnie:

„Oto tu!"

W tejże chwili kapitan pochwycił chłopca w swe objęcia i do żywego poruszony, zawołał:

„Bóg świadkiem, że nie odzyskanie tych pieniędzy napawa mię taką radością! Nie! Nie, mój synu! To twoja wierność, twoje przywiązanie, twoja wdzięczność sprawiają mi taką rozkosz. Taraz dopiero, czuję to dobrze, zostałem

na zawsze uleczony z mych uprzedzeń, gdyż mam dowód, że są jeszcze na świecie ludzie zacni i bogobojni! Od tej chwili niechaj nie będzie między nami żadnej tajemnicy. Tomku! ja jestem twoim stryjem, kapitanem Brander, którego nazwisko przekręcono z angielska na Brenner. Jestem bratem twego ojca, i byłbym to już dawno odkrył tobie i twej matce, gdyby nie brak zaufania, który mi zatruwa serce, który mi nakazywał najprzód was doświadczyć, a potem dopiero działać wedle własnego uznania. Ale oto przebyłeś taką ciężką próbę, że o cięższej trudnoby i zamarzyć. Odtąd jesteś moim synem, a twoja matka moją najdroższą siostrą; pośród was spodziewam się jeszcze żyć szczęśliwie w mych dobrach. Wszak pojedziesz ze mną Tomku?“

„Choćby na koniec świata!“ dorzucił poczciwy chłopiec. „Jednakże czułbym się najszczęśliwszym, gdybyśmy wspólnie z tobą i z matką spokojnie żyć mogli!“

Tomka nie minęło szczęście, jakiego pragnął, a na które sobie rzetelnie zasłużył. Kapitan powrócił wraz z nim do Nowego Orleanu,

i zabrał stamtąd jego matkę i starą Katarzynę do swych dóbr.

Żyja oni tam dotychczas, zdala od zgiełku świata, zadowoleni i szczęśliwi, jakimi tylko mogą być ludzie złączeni szczerą i prawdziwą miłością.

KONIEC.

Z biblioteki dla młodzieży

wyszły następujące tomiki:

I. Sierota przekład **B. Dunina**
II. Przemytnik **B. Dunina**
III. Hrabia i Niedźwiedziarz **Pauliny Wilkońskiej**
IV. Nieopuszczaj kraju rodzinnego **B. Dunina**
V. Kochaj bliźniego swego „
VI. Wuj i siostrzeniec **St. Kunasiewicza**
VII. Nemezis
VIII. Głos Pana nad Pany
IX. Boże narodzenie **B. Dunina**
X. Plebanja **St. Kunasiewicza**
XI. W Karroo „
XII. Ten co po nad obłokami **St. Kunasiewicza**
XIII. Ciężka próba **R. Starkla**
XIV. Do czego za młodu nawykniesz, na starość jak znajdziesz **L. Antonowicza**
XV. Praca a złoto **St. Kunasiewicza**
XVI. Jaka praca, taka płaca **Juliana Topora**
XVII. Srebrnik **Roberta Riszki**
XVIII. W pobliżu bieguna **Dr. Lubary**
XIX. Pracuj a Bóg ci dopomoże **Romualda Starkla**
XX. Ze szwedzkich czasów **R. Riszki**
XXI. Popiel i Piast opowiadanie napisała **Leonia**
XXII. Mieczysław I. opowiadanie histor. **J. Poeche**

Cena tomiku w karton. 1 k. — gr.
„ „ oprawne w płótno 1 „ 20 „

Hoffman W. Obrazki z życia zwierząt Serya I. i II. w 6 obrazkami kolor. po 2 korony.